

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Ś. p.

Henryk Siemiradzki.



Odkąd malarstwo polskie stało się europejskim poziomem sztuki, odkąd zaczęło się z nim liczyć za granicą, zajmować się nim i badać jego szybki wzrost, podziwiać świetność nowych, nieznanych talentów twórczych, — w ostatnich trzydziestu latach zeszłego stulecia najgłośniej rozbrzmiewały trzy nazwiska, trzy wielkie firmy artystyczne: Matejki, Siemiradzkiego i Brandta.

Oni przodowali, oni torowali drogę do sławy, oni utrwalali rozgłos, który się tworzył około sztuki polskiej; każde z ich nowych, wielkich dzieł na wystawach krajowych i zagranicznych stanowiło jakby ukazanie się nowej gwiazdy na widnokręgu, budziło zachwyt i radość, i dumę, i wdzięczność dla tej słynnej trójcy mistrzów, którzy tak wielkie i niepożyte położyli zasługi w dziejach naszego malarstwa.

Z biegiem czasu około tych wielkich gwiazd pierwszorzędnych powstały nowe konstelacje, przybywało mnóstwo mniejszych i większych talentów, zmieniały się kierunki i pojęcia o sztuce, ale nie wolno zapominać i nie wolno zaprzeczać, że u szczytów najświetniejszej epoki w rozwoju naszej sztuki stali twórcy „Grunwaldu”, „Świeczników Nerona” i „Powitania stepu.”

Z tej trójcy Matejko odszedł pierwszy, prawie nagle, prawie niespodzianie; a teraz przed tygodniem tak samo bezlitosna śmierć zabrała drugiego mistrza — umarł Henryk Siemiradzki, o którego nieuleczalnej chorobie przychodziły niepokojące, lecz głuche wieści w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Korespondenci z Rzymu, ze względów łatwo zrozumiałej dyskrecyi, donosili tylko, że wielki artysta cierpi na jakąś dolegliwość językową, że będzie musiał poddać się małej operacji, że królowa Małgorzata, która zawsze zajmowała się nader życzliwie twórczością i osobą Siemiradzkiego, posłała mu swojego przybocznego lekarza-homeopatę, d-ra Negri z Mediolanu, aby zbadał pacjenta i zajął się troskliwie jego kuracją. Niestety, nie na wiele i nie na długo się to przydało; przyczyną choroby,

która się od niewinnego pozoru skaleczenia języka zepsutym zębem rozpoczęła, był rak. Włoski lekarz do ostatniej chwili robił nadzieję, pocieszał, niebezpieczeństwa nie przypuszczał, środki przepisywał z odległości, nawet gdy pacjent wraz z rodziną w lecie dorocznym zwyczajem wyjechał z Rzymu na wieś, do swojej majątności, Strzałkowa, pod Nowo-Radomskiem; ale Bóg zrzucił inaczej, pomimo starań ludzkich i wysiłków...



Henryk Siemiradzki.

Ur. 1843 r., — † d. 23-go sierpnia 1902 r.

Nieuleczalna choroba robiła pod koniec szybkie postępy i zadawała straszne męczarnie, które pomimo całego stoicyzmu i panowania nad sobą musiały ostatecznie wyrwać takie bolesne i tragiczne wyznanie z duszy chorego, na parę godzin przed zgonem:

„Niczego już od ziemi nie żądam, czuję fizyczne pragnienie śmierci; pragnąłbym tylko żyć dla mej rodziny, proszę o przebaczenie grzechów.”

Słowa te napisał własnoręcznie jeszcze na karcie, czując zbliżającą się śmierć; w ostatnich czasach bowiem nie mógł już mówić i odżywał się tylko płynami.

W nocy z piątku na sobotę, około godziny 1-ej, d. 23 b. m. przestał cierpieć, ale i żałobą okrył rodzinę, społeczeństwo, sztukę, której był mistrzem i chlubą przez lat blisko trzydzieści; — więcej niż połowę życia poświęcił tej sztuce, kochanej i czczonej od młodości do ostatniego tchnienia.

Oddał się jej po skończeniu studiów w gimnazjum i Uniwersytecie Charkowskim, już jako kandydat nauk przyrodniczych, przygotowany do innego zawodu, dojrzały i wykształcony, w wieku, w którym nie łatwo na nową przetrzącać się drogę i zmieniać kierunek w życiu.

Do Akademii Sztuk pięknych w Petersburgu, pomimo stopnia naukowego, zagradzała mu drogę ustawa, nie pozwalająca przyjmować uczni po skończeniu 16 lat wieku, a Siemiradzki liczył wtedy już lat 21; nie dał za wygraną jednak, zapisał się jako uczeń nadzwyczajny i talentem, pracą, pilnością zwyciężył formalistykę akademicką. Ten kandydat, którego początkowo przyjęć nie chcieli, stał się później laureatem i stypendystą Akademii, zdobył na konkursach szkolnych dwa złote i pięć srebrnych medalów, otrzymał *prix de Rome* i zasłynął w całym świecie, jako pierwszorzędny artysta-malarz.

Po ukończeniu studiów w Akademii nad Nową, wyjechał na krótki czas do Monachium, ale tam ówczesny kierunek i atmosfera sztuki, nasiąkłej już pierwiastkami realizmu i naturalizmu, nie mogły zadowolić i ująć wytwornej, estetycznej, bardzo subtelnej i wrażliwej natury artysty, rozmiłowanego w klasycznym pięknie, przywykłego do akademickiej poprawności. Przeniósł się tedy tam, gdzie mógł się czuć swobodniejszym, w swoim żywiole i na właściwszym gruncie, do Włoch, do Rzymu i dobrze zrobił, bo pozostał sobą, wier-

ny swym ideałom estetycznym i upodobaniom, których nie potrzebował gwałcić i nagiąć do nowych teorii czy doktryn, przeciwnych jego naturze i talentowi.

Pod jednym względem tylko skorzystał z nowych prądów, — wprowadził czynnik realizmu estetycznego do swojej techniki malarskiej i w tym kierunku do świetnych doszedł rezultatów. Mało artystów współczesnych umiało nadawać tyle plastyki, tyle świetno-

ści kolorytu, tyle światła naturalnego swoim obrazom, tyle wdzięku roztaczać w figurach, tyle uroku nadawać pejzażom z pod nieba południowego, z takim przepychem i ludzącą prawdą malować akcesoryja i rozto-cze powietrznej perspektywy lub przepysznych świetlnych efektów.

A we wszystkim była zawsze jakaś patrycyuszowska wytworność i smak istnego „arbitra elegantiorum“ w sztuce.

Przysłowiowe stały się na płótnach Siemiradzkiego, owe marmury omszone, zwierciadła wód, plamy słoneczne, błękity nieba i morza, wdzięki kobiet o klasycznych kształtach, pięknych, jak boginie, a pozujących, jak gracze olimpijskie.

Miał swój rodzaj, swoje tematy, swój sposób ich pojmowania, z którym można się było godzić, lub nie, ale przyznać mu należało, że w tym swoim indywidualnym charakterze i w specjalnym rodzaju twórczości, jak i techniki malarskiej, był mistrzem skończonym i doskonałym.

Natrafiał na epokę, w której odbywała się radykalna zmiana w dziedzinie sztuki i demokratyzacja pojęć i dążeń estetycznych,—gdy: „dobrze malowaną głowę kapusty stawiano na równi z głową Mony Lizy,“ a nawet tej pierwszej przyznawano niemal wyższość i pierwszeństwo, zwłaszcza gdy przypadkiem była dobrze już wziętą i pogryzioną przez liszki, bo wtedy przedstawiała być „banalną“ kapustą.

Po zachwytach tłumów, idących instynktowo do uwielbienia prawdziwego piękna w naturze czy sztuce, przyszła trzeźwa, rozumująca *a priori* w swoich sądach krytyka, ostra, bezwzględna, obalająca dawne postulaty i ideały estetyczne, a z niemi i „bezmyślny kult“ dla pewnych rodzajów twórczości, dla pewnych talentów i kierunków, „które się przeżyły.“

Dla silniejszego zaznaczenia swej wyższości i praw, weszło w zwyczaj na forum targać senatorów za brodę, aby w ten sposób okazać tłumom, że nie godni są już ani czci, ani podziwu i że z nimi wszelkie rachunki są już na zawsze załatwione,—że się im nie tylko nic więcej nie należy, ale że oddać powinni nawet to, co otrzymali.

Do rzędu takich senatorów targanych w sposób dotkliwy zaliczono na liście proskrypcji i twórcę „Świeczników Nerona,“ „Tańca wśród mieczów,“ „Wazonu czy kobiety,“ „Za przykładem bogów,“ „Jawnogrzecznicę,“ „Fryny,“ „Przekupnia amuletów,“ „Elegii,“ „Chrystusa w domu Marty,“ „Pogoni za motylem“ i tylu, tylu innych dzieł, które mimo to na każdej wystawie, w każdej wielkiej galerii wyróżniały się nawet w najświetniejszym otoczeniu i przed którymi zawsze czciciele piękna, poezji, wdzięku, wytworności w sztuce stawać będą z podziwem i szacunkiem.

Tę szorstką rękę nowszej krytyki odczuł głęboko Siemiradzki w drugiej połowie swej artystycznej kariery i choć zamknięty w sobie, choć skromny i cichy w poczuciu swej godności, nie zdradzał się z bólem, który mu zadano, posmutniał i spochmurniał, bo wiedział, że mu krzywdę wyrządzano.

Orłów nie bije się po skrzydłach, chyba z zamiarem złamania ich lotu...

W tym drugim okresie twórczości Siemiradzkiego zdarzały się i dzieła słabsze, ale kto wie, czy nie wpłynęło na nie zniechęcenie, wywołane niesprawiedliwością krańcowej krytyki, która na tak wrażliwą i subtelną naturę artysty nie mogła nie oddziaływać przynębiająco.

Coraz mniej i coraz niechętniej przysyłał swoje obrazy na wystawy krajowe z Rzymu, ale w pracowni przy ulicy Gaeta, w swoim klasycznym *tusculum* nie próżnował nigdy i na stalugach miał zawsze jakieś nowe płótno, które wprost z wytwornego atelier artysty ze sławą europejską, szło do zbiorów prawdziwych znawców i mecenasów sztuki.

Ostatnie jego dzieła, wykonane dla rodaków, dwie wspaniałe kurtyny dla teatrów w Krakowie i Lwowie, rzeczywiste dzieła sztuki, jakimi dziś żaden teatr europejski poszczycić się nie może, wykazały jeszcze w całym blasku talent Siemiradzkiego.

O uznaniu u swoich dbał bardzo i umiał je cenić; marzył o tem, aby go kiedyś „poznano całego“ i należą mu sprawiedliwość oddano. W tym celu przygotowywał właśnie przed śmiercią zbiorowe wydanie wszystkich swoich prac w Albumie, które ukazać się ma wkrótce nakładem zasłużonej firmy Gebethnera i Wolffa, z obszerną monografią pióra znanego artysty-rzeźbiarza Stanisława Romana Lewandowskiego.

Nad korektą przygotowywanych reprodukcji właśnie śmierć go zchwyciła; wydawnictwo to będzie zatem grobowym pomnikiem talentu, który zamilkł już na wieki i ustąpił miejsca—nowym mistrzom z nowymi hasłami.

Oby go tylko godnie zastąpić potrafili!...

Spółeczeństwo i sztuka nie skończyły jednak swojego obrachunku ze zmarłym artystą; teraz nadeszła chwila okazania mu wdzięcznej czci i uznania, na jakie zasłużył pracą i twórczością całego żywota, talentem niepospolitym i świetnym, poświęceniem dla sztuki, pełnem miłości i oddania się. Nigdy nie może mu być zapomnianem, co zdziałał dla niej i dla swojego społeczeństwa!... na zawsze musi być upamiętnioną ta wzniósł się chwila podczas jubileuszu Kraszewskiego w Krakowie, kiedy z wspaniałą hojnością malarza-obywatela podarował swoje kapitalne dzieło „Świeczniki Nerona“ na początek Muzeum sztuki polskiej w Sukiennicach, a gdy mu zachwycone tym czynem tłumy wyprawiły imponujący pochód z pochodniami, zchwycił świecznik ze stołu, stanął na balkonie Hotelu Krakowskiego i zawołał:

— Panowie!... dzień dzisiejszy jest dniem hołdu dla naszego jubilata Kraszewskiego; pozwólcie mi stanąć na waszym czele i pójść z pokłonem do Nestora naszej literatury!

Zeszedł na dół i z głową odkrytą poprowadził cały korowód do Rynku, pod okna sędziwego autora „Caprei i Romy.“

Takiemu artyście i człowiekowi należy się pomnik nie tylko w sercach wdzięcznych pokoleń.

Dziś zwłoki wielkiego malarza spoczęły w grobach rodzinnych na cmentarzu Powązkowskim; odprowadzono śmiertelne szczątki z powagą i wystawnością, należąca dostojnikowi sztuki na wieczny odpoczynek, a trumnę zasypano kwieciami i laurami.

Kwiaty zwiędną,—lecz w Panteonie zasłuszonych zielenić się winny zawsze świeże warzyny ku wiecznej czci i pamięci Henryka Siemiradzkiego!...

M. G.



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIEŃSKI.



II.

Szanowna Redakeyo!

Aż wstyd doprawdy się przyznać, mając dwadzieścia dwa lata, jak mało jestem postępową i w dążeniach, i pragnieniach, i w myśli, i uczuciu, to też kwestyjonaryusz nabawił mnie niemałego kłopotu, ale postanowiłam odpisać szczerze i tak, jak będę umiała.

Zawsze, już od lat dziecińczych, lubiłam zdawać sobie sprawę z tego, co się naokoło mnie działo, później badałam różne wrażenia

odbierane, a zagadnienia społeczne żywo mnie obchodziły. Po powrocie z pensji, rozmaite pragnienia rozpięły pierś moją; wróciłam do rodziców na wieś, i z zapalem zaczęłam się rozglądać naokoło siebie; odtąd myśl w formie zapytania mnie dręczyła, com winna społeczeństwu? i czego to społeczeństwo ma prawo żądać ode mnie? Byłam dość zamożną, jedynaczką, walki o byt nie miałam przed sobą, uczono mnie kochać zagon rodzinny i ciążyła na mnie odpowiedzialność kierowania kiedyś interesami wioski. Panną na wydaniu być nie chciałam, ponieważ czułam potrzebę nauki i poważniejszego myślenia, flirt i zabawy bawiły mnie krótko, nęcał tylko swoją nowością, więc i tę drogę, tak miłą innym pannom, miałam zamkniętą; cóż zrobić z życiem, aby ono było pożytecznem? — postawiłam sobie jasno to pytanie. Przez całe dwa lata idąc za popędem pragnień nieokreślonych, starałam się o natrafienie na taką ideę lub pracę, któraby mi życie wypełniła. Najprzód chciałam drogą nauki dojść do świetnych rezultatów; było w tem dużo próżności, chciałam jako doktor medycyny dojść do sławy i rozgłosu. Odrazu zamiaru swego wykonać nie mogłam, ponieważ tylko za granicą kształcić się kobieta może, więc po głębszem zbadaniu siebie, zadałam sobie pytanie, czy to jest właściwa droga mego kobiecego powołania, i czy nie będzie lepiej zostać w wiosce i pracą cichą bez rozgłosu stać się tem użyteczniejszą społeczeństwu, im trudniejszą i mozolniejszą pracą.

I głęboko uczułam, że tu, blisko mnie, jest bez szukania obcych bogów, całe morze zajęć, ogromne pole do działania dla kobiety. Zostałam, zaczęłam uczyć się gospodarstwa męskiego, żeby mózdz wioską kierować; po raz pierwszy zaczęłam żałować, że nas na pensjach kształcą tak wyłącznie podług jednego szablonu, bez wyróżnienia zdolności i powołania każdej, i że uczą wszystkiego, ale fachowo niczego gruntownie. Szkoła powinna nas przecież trochę do życia praktycznego i do pracy przygotowywać, boć tych kilka kursów buchalterji u nas założonych, to jeszcze mało, takich w każdej dziedzinie powinno być więcej, aby kobieta mogła zadowolić swoje pragnienia wiedzy i nauczyła się przystosować to w czynach; otóż bolejąc, że u nas niema odpowiednich kursów agronomii dla kobiet, musiałam, nie posiadając teorii, uczyć się z praktyki, co nie małą przedstawia trudność. Następnie stan zdrowotności naszego ludu ogromnie mnie interesował; patrząc na ich niechlujstwo, brak pomocy lekarskiej, ciemnotę i zastarzałe zabobony, postanowiłam to, o ile możności z wioski usunąć, zmienić, i skromną pracą dorzucić choć ziarnko dla idei społecznej. Zaczęłam się uczyć opatrunków; jedyne kursa praktyczne są u nas dozwolone w ambulatoriach, bo większe szpitale są dla nas także zamknięte; później napotykałam różne trudności w skutek niedostatecznej nauki i praktyki dyletanckiej, ale nauczyłam się niesienia pierwszej pomocy lekarskiej. I odtąd znalazłam swoją drogę; ideą moją stało się utrzymanie ziemi, oświecenie i dobrobyt podwładnych i niesienie pomocy lekarskiej (opatrunki) po wsiach, w tym moim światku, z którego wyrzuciłam wszelką próżność i chęć rozgłosu, z którymi staczać musiałam wielką moralną walkę,—znalazłam wypełnienie życia i nie czuję się darmozjadem w społeczeństwie.

Co do literatury, kierunek obecny nie podobna mi się, nie idzie do duszy i nie przemawia do przekonania. Jednemu Przybyszewskiemu przyznaję genialne poznanie dusz ludzkich; jest to wielki myśliciel. Wyspiański jest zanadto wielkim symbolistą; przyznaję ze smutkiem, że go nie raz nic a nic nie rozumiem;—tutaj tylko się przyznaję, bo wśród ogólnego zachwyty, wywołałoby to zgryźt nieharmonijny.

Małżeństwo szczęśliwe i dobrane było i jest dla mnie ideałem szczęścia. Nie będąc wcale tak zwaną „panną na wydaniu,” nie wypieram się, że marzę nieraz o mężu, dzieciach i o tem ognisku rodzinnem, gdzie biją i rozumieją się dwa serca; chciałabym być przyjaciółką i towarzyszką człowieka ukochanego, pragnę z nim dzielić pracę, złą i dobrą dołą. Pojęcie dobrej partii zupełnie wykluczam, a dzieci chciałabym mieć jak najwięcej. Co to za rozkosz musi być rozwijać przyszłego człowieka; marzę o tem, aby umieć je rozumnie wychować, aby zasady, pierwsze wykształcenie odebrały ode mnie, marzę o tem, aby je wychować na dzielne podpory społeczeństwa, chciałabym być dobrą żoną i matką. Dla tych to moich pojęć uważam za potworne, gdy kobieta dzisiejsza, emancypantka, wyrzeka się praw naturalnych i wyklucza miłość i małżeństwo ze swego życia, przecież kobieta powinna łączyć wielki rozum z jeszcze większym sercem, powinna kochać społeczeństwo, rodzinę, miłością macierzyńską, a czy nie głównym obowiązkiem kobiety jest piecza o czystość moralną rodziny? czy społeczeństwu nie służy z większą zasługą cicha żona i dobra matka, niż zwaryowana feministka?

Wszystko to kreślę dość nieśmiało, ponieważ większy ogół panien wysmiewa moje poglądy; możebym się z nimi kryła, gdyby nie wymaganie spowiedzi.

Czego żądam od społeczeństwa?.. szkół w kraju, gdzieby kobieta mogła uzyskać wykształcenie równe mężczyźnie, gdzieby ją kształcono poważnie, w odosobnieniu od mężczyzn, gdzieby bacznie strzeżono jej wiary i czystości przekonań, żeby tym sposobem kobieta, nie przestając być kapłanką ognisk rodzinnych, miała na polu nauki i pracy równouprawnienie z mężczyzną, bez utraty swej kobiecości i bez zdeprawowania uczuć; niech będzie panną czy mężatką, nie lalką, nie nienormalnym pół-mężczyzną, ale niech będzie kobietą-człowiekiem i matką-pedagogiem. Każdy sobie kreśli jakąś drogę i ideał, otóż to są moje ideały i droga, którą chciałabym iść przez życie.

Mała Podlasianka.

III.

Szanowna Redakcyo!

Doprawdy, że wszystkie panny powinny wyrazić Szan. Redakcyi swą głęboką wdzięczność za poruszenie tak ważnej dla nas sprawy. Ilekroć się to myśli i czuje, a jak niewiele się wypowiada. Pochodzi to bądź z braku chętnych słuchaczy, bądź z nieśmiałości, bądź też z obawy, by ktoś nie wysmiał... ale wobec tego, iż „panny mają głos,” ja z całą szczerością, śmiałością i zaufaniem wypowiadam poniżej moje myśli, czy będą trafne i z sensem, Szan. Redakcyo to osądzi.

Zupełną słuszość ma Redakcyo, twierdząc, iż dzisiaj minęły już dla panien czasy, w których można było wieść żywot „spiającej królowej” i czekać pięknego rycerza, który przyjdzie budzić ją „magicznym słowem: kocham cię.”

Teraz polskiej pannie nie wolno być ani „puchem marnym,” ani „wietrzną istotą,” ani „niebianką,” lecz—człowiekiem, który i „myśli porządnie, i serce ma czyste;” polska panna powinna zawsze i wszędzie znaleźć szacunek i uznanie, powinna zdobywać sobie sympatię, a nie pogardę i lekceważenie, powinna nie „rodu ludzkiego być mniej ważną połową,” lecz właśnie ważniejszą. Nie rozumiejąc przez to wcale, żeby kobiety miały, przebrawszy się po mężku, wyrugować ze świata mężczyzn i zająć ich miejsca, wcale nie; tylko myśle, że doprawdy kobiety zawsze ważniejszą rolę w życiu odgrywały, odgrywają i odgrywać będą, któż bowiem rodzi mło-

de pokolenia, kto wychowuje je, rozwija i kształci?

A więc, żeby matka, czy tam nauczycielka mogła dobrze i rozumnie wychowywać i kształcić dzieci, trzeba, żeby była wykształconą starannie, a przede wszystkim gruntownie; trzeba, by panna kształcić się, rozumiała to, czego się uczy, jak również dlaczego się uczy. Cóż przyjdzie z wykształcenia (na które swego czasu szły setki, a czasem tysiące) takiej matki, która najprostszego zadania arytmetycznego swemu synkowi rozwiązać nie potrafi, a na chybi-trafi mówi: „pomóż, kochanku,” lub „no to podziel, kiedy źle!...”

Niech więc panny uczą się i geografii, i historii, i matematyki, i języków, ale przede wszystkim higieny i pedagogiki, gdyż wiadomości, zaczerpnięte z tych dwóch umiejętności, bardzo im się potem przydadzą. Tak kształcić się nam trzeba i to nietylko ogólnie, ale i specjalnie, t. j. w jakimś bądź fachu: 1) dlatego, żeby dobrze dzieci chować, czy to swoje, czy cudze, 2) dlatego, że sama wiedza jest to źródło przeczyste i wiecznie świeże, z którego ciągle pić można, 3) uczyć nam się trzeba, by mieć w ręku kawałek chleba na wypadek, gdy „królewicz” nie zbudzi „spiającej królowej,” gdy mąż umrze i zostawi rodzinę bez środków do życia, 4) wyżej kształcić się trzeba, gdyż mężczyźni znacznie wyżej stanęli od naszych pra-pra-dziadków, więc i kobiety doby dzisiejszej muszą im odpowiadać umysłowo.

Panna po skończeniu kształcenia się do czasu zamążpójścia (mówię tu o pannach ztak zwanej inteligencji, która nie ma milionów, aby z niemi czekać spokojnie na królewicza), nie powinna siedzieć z założonymi rękoma, ale powinna robić coś, coby pożytek, jeśli nie jej samej, to społeczeństwu przyniosło. Nie powinny być pannami „na wydaniu,” które czekają, aż im tata sprawi nową sukienkę, a mama zabierze z sobą do teatru lub na bal, by tam wyszukać sobie odpowiednią t. zw. „przyzwoitą partię...” O, to polskiej pannie nie przystoi teraz, to troszkę za mało myśleć o swoich wdziękach i toaletach, by zaćmić niemi swoje przyjaciółki i znajome; trzeba, chcąc zasłużyć na szacunek społeczeństwa, pracować koniecznie. Jak? W miarę możliwości. Nie jedna panna powie: „Nie będę buchalterką, ani nauczycielką, bo po cóż chleb odbierać innym? Ja tego nie potrzebuję.” Bardzo słusznie i sprawiedliwie, ale jeśli jesteś tyle samożną, to ucz dzieci biedaków, które się walają po rynsztokach, odwiedź ubogich, staraj się im dać jakąś pomoc, zresztą bądź użyteczną w jakimkolwiek inny sposób. Dla duszy nie spiającej i nie drzemiącej w życiu, znajdzie się zawsze jakieś pole do pracy dla bliźnich. A jak potem rozrywki smakują i prawdziwie bawią!... Właśnie o wspólnych rozrywkach panien i młodych ludzi chcę tu parę słów nadmienić. Mają one, t. j. te zabawy wspólne jakieś, oryginalne cechy. Niema podczas towarzyskich zebrań młodych, żadnych zabawy, tańca, wesołej lub poważnej rozmowy (zależy od usposobienia i okoliczności), jakieś szczerej wymiany myśli, słowem takiego przyjacielskiego koleżeńskiego stosunku w obcowaniu młodych panien z młodymi ludźmi, a są jakby dwa obozy: jeden błyszczący, świetny, pozwalający się oglądać i szacować, drugi szacujący i oglądający.

W jednym usłyszałbyś nieraz westchnienie: „Ach, czemuż nie mogę przywołać p. X. lub Y., porozmawiałabym z nim chętnie, to taki rozsądny, sympatyczny człowiek,” a w drugim zwierzenia w rodzaju: „Ta panna Z. ładna, bo ładna, ale gęś!...” A panna Z. wcale nie gęś, tylko z młodym człowiekiem „nie wypada” długo sam na sam rozmawiać, potrącając o głębsze przedmioty, bo i cóżby na to powiedzieli znajomi; pewno, że zakochała!... Któż temu winien, że mówi się w to-

warzystwie tylko o balach, koncertach, że obmawia się znajomych i przyjaciół, że odważniejsze prowadzą po kątach na ucho modny flirt, słusznie potępiany przez rozumniejszych ludzi? Któż winien? Właśnie nie powinno być tego rozdziału między młodzieżą obojej płci, tylko wzajemne obcowanie, nacechowane prostotą, szczerością, nie pozbawione jednak uprzejmości i rycerskości ze strony młodych ludzi. Niechże się młodzi wzajemnie dobrze przypatrzają, niech się poznają, aby potem wybrać dożgonnego towarzysza lub towarzyszkę; nie dlatego, aby się mówiło: „Aha, ja najwcześniej wyszłam za mąż!...” a ja mam konie do wyjazdu! etc.,” ale dlatego, aby znaleźć serdecznego przyjaciela, sympatycznego towarzysza życia, a zarazem dobrego, słachetnego i wyrozumiałego opiekuna, który nie tylko, że moje wady będzie widział, ale je umiał i chciał poprawić; a ja żebym mu była najczulszą opiekunką i przyjaciółką, i towarzyszką, nietylko w radościach tego życia, ale i w pracy, i w smutku.

Według moich pojęć największym szczęściem dla kobiety — to połączenie się z człowiekiem dobrym, któryby mnie prowadził i opiekowałby się mną, bo pomimo nie wiem jakich tam zachceń samodzielności, kobieta zawsze tęskni do silnego ramienia, o któreby się oparła z wiarą i ufnością i któreby ją prowadziło przez życie...

Temu jednak nie przeszkadza, by była przypuszcmy, panna, wstępująca w związki małżeńskie, wykwalifikowaną szwaczką, aptekarką, nauczycielką lub nareszcie doktorką filozofii. Kobieta, rozsądna i dobra, gdy chce, wszystko zrobić może i umie, pogodzić nawet rozprawę o nieśmiertelności duszy z dobrze ugotowanym obiadem... Zupełnie bez zasady wysmiewają się z doktorek, literatek etc., dlaczego jednak w spokoju zostawiają kucharki, szwaczki, praczki? A czyż te wysmiane doktorki nie pracują również ciężko, jak służące lub szwaczki? Czyż one nie są pożyteczne? Czy nie przynoszą ulgi chorym? Czyż wreszcie kobieta-doktorka to dla chorych kobiet i dzieci nie symbol lekarza-aniola? A zkad się wziął ten przesąd, że kobieta, która ma palce zawalane atramentem (!!) koniecznie musi się nie znać na gospodarstwie? Cóż ma robić ta nieszczęsna istota, gdy ją Bóg stworzył kobietą i wlał w jej duszę dar, czy też pociąg do pióra? Są wyjątki, ale gdzież ich niema? Powtarzam jednak raz jeszcze, że mądra i dobra kobieta wszystko pogodzi, wszędzie zaprowadzi harmonję.

Jest zapytanie w tymże kwestyonaryuszu, jakim prądom w literaturze i sztuce panny hołdują? Odpowiadam za siebie, iż dekadentów z Przybyszewskim nie znam, ale słysząc i czytając różne o nich zdania, nie mam ochoty wziąć do ręki tego zbioru trucizny i jadu, by nie otruci się i nie umrzeć na duszy. Dla mnie istnieje jeden mistrz, jeden pisarz, a nim jest nasz Henryk Sienkiewicz. Jego dzieła kocham i uwielbiam, niemi słodzę i uprzyjemniam sobie życie. I Mickiewicz mnie czaruje, ale nie jest on dla mnie takim blizkim, jak Sienkiewicz; zresztą nie dziwnego, wszak od czasu, gdy on żył i tworzył, do czasu, kiedy doszłam do używania rozumu, przeszło lat kilka dziesiątków...

Teatr uważam za bardzo kształcącą i pouczającą a zarazem za bardzo przyjemną rozrywkę, za wyjątkiem tylko płaskich i głupich fars, krotoczwil etc., bo w nich pokarmu dla ducha nie znajdziemy ani za grosz, a zostanie tylko niesmak i smutek.

Jedną jeszcze kwestję potrącam, mianowicie brak uczuć religijnych u dzisiejszych panien. Nie powiem, żeby były ateuszkami, broń Boże, ale spełniają praktyki religijne bez zapału, zimno, aby spełnić, by nie powiedziano, że są bezreligijne, ale nie pochodzą to z głębi serca... Nie bierzemy podczas rozmowy kwestyi religijnych w obronę, zachod-

wujemy się, jakbyśmy byli małoletnie, — milczymy. Czemu? Nie myślę, by pochodziło to z pamięci, iż w towarzystwie należy unikać sporów o tle religijnem; myślę, iż prędzej z ośpałości duszy i obojętności na sprawy odnoszące się do Boga; — zanadto pełzamy po ziemi, zanadto!...

Tyle wszystkiego.

Co się zaś tyczy nie podpisywania owych „głosów panieńskich,” to zdanie p. Grot-Bęczkowskiej (patrz „Bluszcz” nr. 19-ty, z dnia 11-go maja r. b.) jest według mnie błędne, gdyż te panny, które chwalić się „na pokaz” będą, to i pod przybranem nazwiskiem to uczynią, a te, co czują i myślą szczerze, ani wstydzić się, ani zapierać tego nie potrzebują; to też potwierdzając słowa powyższe, podpisuję się całem swoim imieniem i nazwiskiem, dodając przytem, że jeśli coś nie bardzo mądrze napisane (mam lat 20), to za to szczerze i z głębi serca płynące.

Halina Konieczna.

Sosnowiec, dnia 15-go czerwca 1902-go r.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

W miarę, jak mówiła, twarz pana Tomasz robiła się najpierw ciemno-czerwoną, potem purpurową, nakoniec była sina. Dźwignął się z kanapy — i mówił głosem ochrypłym, siląc się na ton spokojny:

— Bóg słyszy, ile jest kłamstwa i niesprawiedliwości w każdym twojem słowie!... Jesteś w tym domu do tego stopnia panią, że go nawet w tej chwili bez skrupułu swoim własnym nazywasz; syn twój do tego stopnia jest ci uległym, że poświęca swoje szczęście twoim uprzedzeniom; a utrzymanie chciałem ci zapewnić takie, jak gdybyś była wniosła w posagu memu synowi coś więcej — niż mnóstwo niesłusznych wymagań. Czegoż ty możesz chcieć jeszcze, kobieto?...

— Chcę tego, co mi się słusznie należy! chcę mieć własne utrzymanie, a nie ratami wypłacaną jałmużnę! Nie! dosyć mam tego wszystkiego — i zapowiadam, że jeżeli nie otrzymam oznaczonej przeze mnie sumy, to tak, jak tu w tej chwili stoję, wyjadę do miasta, i bez waszej łaski potrafię mieć dosyć, nie tylko na potrzeby, ale nawet na zbytki!

— Jak to rozumiesz?... — wybełkotał pan Tomasz zdławionym głosem.

— Tak, że na szerszym świecie są jeszcze ludzie, którzy mię ocenić potrafią... Kobiecie, jak ja, nie trudno znaleźć protektorów, — a wstyd nie na mnie spadnie, tylko na tych, którzy mnie do tego kroku doprowadzili!...

— Boże! i to matka Zygmunta!... — zawołał pan Tomasz, chwytając się oburącz za głowę.

— Tak, — podchwyciła, — matka Zygmunta, o której świat powie, że do zguby przyszła przez dziadka swego syna, — że teść popchnął ją do upadku dla marnych pięćdziesięciu tysięcy, które wołał zachować na swoje ekscentryczne chimery!

Pan Tomasz zacisnął pięści.

— Słuchaj! — rzekł głucho, — upadkiem swoim mię nie strasz, bo ci to nie grozi! Boli mię, że taka groźba może przejść przez usta mojej synowej, ale urzeczywistnienia jej bać się nie mogę, boć nie myślisz chyba na serio, aby kobieta w twoim wieku mogła sobą frymarzyć.

Pani Mimi chwyciła się za serce i padła na fotel.

— Cha! cha! cha! brakowało jeszcze tej obelgi! — krzyczała, śmiejąc się i łkając spazmatycznie. Ach! ach! ach! wody!...

Pan Tomasz obejrzał się za karafką, nalał wody w szklanekę, ale zamiast do ust jej podsunąć, lunął nagle na głowę.

Oprzytomniała w jednej chwili, i poprawiając mokre włosy, wybiegła z pokoju, a pan Tomasz, drżący i dyszący, skierował się ku otwartym szklanym drzwiom od ogrodu, i zataczając się, wyszedł na świeże powietrze.

Wieczór był dość już chłodny więc pani Tomaszowa, wróciwszy z folwarku, poszła szukać męża, w obawie, by się nie zaziębił. W lipowej alei, gdzie się zwykle przechadzał, ciemno było i pusto, szła jednak do końca — i nagle potknęła się o czarną masę, leżącą pod drzewem.

Pochyliła się nad nią — i krzyknęła strasznym głosem — był to pan Tomasz.

Na krzyk przybiegli ze dworu ludzie, podnieśli pana; był bezwładny, twarz miał granatową i wywrócone oczy, a z piersi dobywało się urywane, głuche rżenie.

Kiedy po paru godzinach przywrócono go do przytomności, doktor powiedział Zygmunтови, że był to atak apoplektyczny, po którym pozostało połowiczne sparaliżowanie, budzące poważne obawy. Zatelegrafowano natychmiast do Warszawy, po jakąś znakomitość lekarską, — i zaczęła się jedna z tych nocy, które każdemu, kto przebywał podobne, zapisuje się w pamięci w taki sposób, że później przez całe życie straszno jest obejrzyć się myślą po za siebie, aby w przeszłości swej nie zobaczyć tych wspomnień, wyrytych na zawsze w duszy tak wyraziście i szczegółowo, że się za każdym razem wszystko na nowo przeżywa, wszystko się widzi tak jasno i dobitnie, jak białe galony na czarnem suknie karawanu.

Na wielkiem, staroświeckim łożu z adamaszkową kotarą chory leżał ciężko, jak bryła gliny, spał mocno, ale niespokojnie, a chwilami rzucał się i bełkotał nieprzytomnie. Przy łożu modliła się pani Tomaszowa, a z nią razem Kanonik, Zygmunt z lekarzem czuwał w przyległym pokoju, a Klara, Jur i Malwa, nie odstępując przyjaciół w złej godzinie, przebywali naprzemian to w jednym, to w drugim pokoju.

Nad ranem Jur pojechał do blizkiego miasteczka, gdzie była stacya kolei, na spotkanie warszawskiego doktora. Pojechał z nim także miejscowy lekarz, który mieszkał w temże miasteczku — i potrzebował załatwić coś w szpitalu. Jechali jakby wpływ przez warstwę grubej, ciężkiej mgły, w której konie brodzić się zdawały. Matowe światło bezpromiennego świtu gasiło blaski i barwy, krajobraz dokoła wydawał się rysowany sepią na szarym papierze, przydrożne drzewa

przeplýwały posępne i od mgły przemokłe, obrzucone czarnymi plamami sennych wron i kawek, — chwilami wiatr chłodny przeleciał z cichym poświstem, to znów w gałęziach załopotalo i posypały się suche liście, wszystko dokoła potęgowało smutne wrażenia ubiegłej nocy.

Jur starał się rozmową rozerwać doktora, który pielegnował chorego, jak przyjaciela, był znużony i zafrasowany.

— Więc tak źle jeszcze nie jest — zapytał, — skoro pan zostawiasz cokolwiek otuchy, licząc na biegłość swego znakomitego kolegi?

— Nie wiele to tej otuchy, i nie wiele możemy przeciw brutalnej sile zniszczenia, — odpowiedział doktor, człowiek młody, nauce z zapalem oddany. — Wiedza jest również głupią, jak ciemnota, wobec życia, które dobiega kresu, a my, niestety, możemy być pewni tego tylko, że nigdy nie znajdziemy niezawodnego środka na utrzymanie w spójni garści molekułów, którym przyszła pora rozpręgnąć się — i przejść w inne formy bytu.

— Tak — potwierdził Jur, — to jest smutne; ale jeszcze smutniejsze, że to, co w tej garści molekułów czuło i myślało, utraci swoją samowiedzę na zawsze — i żadna z tych cząstek nigdy już wiedzieć nie będzie, że była kiedyś zacnym i rozumnym człowiekiem... Szczęśliwi, którzy wierzą inaczej...

— Tembardziej, że może mają rację.

— Pan to przypuszczasz?

— Po części.

— Ja także; ale cóż ztąd, skoro pewności nie mamy?

— Pewność? e! to nie dla nas. Mój mały asystent — panna Klara — utrzymuje, że zbytek rozumowania przeszkadza rozwinięciu się wewnętrznego pocucia, które się rodzi z pokory, niedowierzającej własnemu rozumowi. A my nie mamy ani żdźbła pokory: chcielibyśmy wejść przez niskie drzwiczki wiary, nie chcemy schylić w nich głowy — i dlatego zostajemy za drzwiami.

— Pan — widzę — chciałbyś wierzyć?

— A któżby z nas dziś nie chciał? Przez dwieście lat szukaliśmy czegoś, co nam miało zastąpić przestarzałe wierzenia, — i znaleźliśmy pozytywny pewnik, że samym tylko naszym rozumem nie zdołamy rozwikłać nigdy zagadki bytu. A jednak wieczne pragnienie rozwikłania jej pozostało — i radzielibyśmy odkryć coś, co by można podłożyć, jako mocny fundament pod nasze chwiejne rozumowania; ale czem jest to coś — i gdzie tego dostać — nie wiemy.

— A może to byłoby właśnie owo impulsywne przeświadczenie, które panna Klara nazywa darem wiary? — rzucił Jur trochę niepewnym głosem.

— Może — odpowiedział młody doktor, — ale to słówko „może” niweczy skuteczność środka; jakże tego użyć za podporę, na co patrzymy nieufnie i podejrzliwie? I gdyby chociaż można było z całej sumy owych wierzeń wybrać te, które nam do przekonania trafiają, a resztę jak niepotrzebny balast odrzucić; ale wszak nie raz już próbowano takiego sortowania — no, i jakoś nic z tego nie wyszło.

— Naturalnie; to łańcuch zbyt jednolitej roboty, aby powyrzucać niektóre ogniwa — i spoiwszy go na nowo, nie zauważyć braku.

Właśnie niedawno przekonałem się o dziwnej spójności w całokształcie tej doktryny.

— Czytał pan coś w tym rodzaju?

— Miałem ciekawość przestudyować niektóre dzieła z biblioteki Kanonika, i przedyskutowałem z nim wiele kwestyi. Kanonik jest człowiekiem wielkiej tollerancyi; rozumie mnie doskonale i nie oburza się na moje pojęcia; a chociaż nie narzuca mi swoich, jednakże wobec jego wiary słabnie moja niewiara, i bywają chwile, w których mi się wydaje, że jestem przeświadczonym o prawdziwości jego przekonań. Ale jest to przeświadczenie filozoficzne jedynie, oparte na przesłankach logiki, która może jest i sama tylko zbiorem paradoksalnych syllogizmów, zbudowanych na fałszywych założeniach... I tak hydra sceptycyzmu zawsze się czai gdzieś na dnie umysłu, aby w pierwszej stosownej chwili wytknąć jeden ze swoich łbów tysięcznych. Tak było zawsze — i zawsze tak będzie...

— E, nie! właśnie, że różnie bywało, i różnie jeszcze będzie. A ot, zdaje się, że właśnie teraz dla ogółu ludzi myślących nadchodzi zwrot stanowczy.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Jestem tylko początkującym lekarzem w prowincjonalnem miasteczku, ale z moją kąta jednocześnie się z ruchem umysłowym szerszego świata, jak zresztą dziś wszyscy, którzy mogą mieć pisma i książki; widzę więc, że kryzys nadchodzi. Materyalizm dogorywa, najmłodsze pokolenie zrywa się nad poziomy, a następnie wpadnie może w skrajny idealizm. I dziś już zresztą mamy takich, którzy wprost od wierzenia w to tylko, czego ręka dotknąć może, przeszli do takich naprzykład wierzeń, jak komunikacja z mieszkańcami czwartego wymiaru przestrzeni.

— Pan także jesteś podobno trochę spirytystą? — zapytał Jur z zajęciem.

— Podobno—odrzekł młody lekarz z uśmiechem.— Stanowczo dotąd jeszcze nie twierdzić nie mogę; ale niektóre obserwacje każą przypuszczać możliwość zjawisk, wylamujących się z pod wszelkich praw, rządzących materią, a zatem należących do jakiegoś świata niematerialnego.

— Więc—konsekwentnie—musisz pan przypuszczać możliwość i tego, co religijni nazywają cudem, a co jest właściwie podstawą wszystkich ich wierzeń? I w takim razie doktryna ich nie byłaby wiarą w bezsensowne łamanie praw natury, tylko w podporządkowywanie się potężniejszym prawom świata nadzmysłowego?

— Właśnie. To też kto wie — może spirytyzm, medyumizm i tym podobne doprowadzą do doktryny panny Klary et compagnie, tak samo, jak astrologia i alchemia doprowadziły do astronomii i chemii?

Doktor zaśmiał się, zapalił papierosa i zakończył:

— No! obeszlśmy kwestyę w kółko—i wracamy do punktu wyjścia, do owego chwiejnego i nieufnego „może.”

— Czy ten wstrętny wyraz nie drażni pana? — rzekł Jur z nerwową żywością.— Pan o tem wszystkiem mówisz z takim spokojem.

— A czyby mi niepokój dopomógł w rozwiązywaniu zagadnień?

— On się nie pyta, czy nam pomaga, czy nam przeszkadza; jest—bo jest, bo być musi.

— Jak u kogo; to kwestya temperamentu, a także warunków życiowych.

— Jakich mianowicie?

— Bezcelowość życia, kochany panie, jest to taka pusta droga, po której swobodnie spaceruje sobie sfinks, zadający logogryfy. Kto ma w sobie duży zapas energii, a nie wydatkuje jej zewnątrz — na czyn, ten musi ją wydatkować wewnątrz — na myśl; a zbytek myślenia prowadzi nie tylko do filozoficznych niepokojów, ale nawet do szpitala waryatów. No, ale panu to już nie grozi, bo podobno znalazłeś pan ujście dla swojej energii. Słyszałem o Przystani; opowiadała mi panna Klara, która się bardzo nią interesuje.

— Ona się interesuje wszystkiem, co jej osobiście nic nie przynosi.

— To też z pewnością skończy na tem, że szarytką zostanie.

— Myślisz pan, że za mąż nie wyjdzie?

— Nie wyjdzie z pewnością.

— Zkądże pan wiesz o tem?

— Powiedziała mi to, kiedy nie chciała wyjść za mnie.

— Pan się o nią starałeś? nie wiedziałem...

— Panna Klara nie ma zwyczaju opowiadać o swoich wielbicielach. A żebyś pan wiedział, jak ona milutko harbuzy daje! lekko, delikatnie, zupełnie tak samo, jak opatrunki nakłada.

— Więc powiedziała panu, że nigdy za mąż nie wyjdzie?

— Powiedziała mi, że drugi raz kochać nie będzie, a był już kiedyś jakiś pierwszy i ostatni, obecnie od niej tak daleki, jak biegun od bieguna. Musi to być ktoś, co został nad Angarą—i nigdy ztamtąd nie wróci. Słyszysz pan? pociąg gwizdże! w sam czas przyjeżdżamy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z GROTYKÓW.



I.

Błogosławioną niechaj będzie chwila,
Błogosławione wówczas usta te,
Kiedy je anioł miłości rozchyła
Dwoma słowami z serca: „Kocham cię!...”
Błogosławiony pierwszy pocałunek,
Który upaja ludzkie dusze dwie,
Jak z koralowej czary pity trunek —
Z wiecznym toastem serca: „Kocham cię!...”
Błogosławione na ziemskim padole
To miejsce wyznań, co się rajem zwie,
I gdzie dwie głowy w jedną aureolę
Ujmuje miłość z szeptem: „Kocham cię!...”

II.

A gdy mnie będziesz przez sen wołała,
Jak szmerem liścia wśród nocnej ciszy,
Dusza ma zadrży, spłoni się cała,
I twe wołanie senne usłyszysz...
A choćbym nie był między żywymi,
I już wśród niebnych bujał przestworzy,

Duch mój się zniży znowu ku ziemi,
I znów u twoich stóp się położy...

III.

Co jabym ci dał, dziewczyno,
Co jabym ci dał?...
Jeno złudne te nadzieje,
Co wraz z marzeń pajęczyną
Wiatr poszarpie i rozwieje,
Jeno gorzkie lzy, co płyną,
Gdy przeminie szal...

Jeno żalność i tęsknotę,
Która duszę ssie,
Jeno wieczną w myślach burzę,
Jeno wieczną w sercu słotę,
I to niebo wiecznie w chmurze,
I dla duszę tę Golgotę,
Co się życiem zwie...

Co jabym ci dał, dziewczyno,
Co jabym ci dał?...
Na mej drodze krzyż się znaczy!
W sinich mgłach, co z nocy płyną —
A pod krzyżem Bóg przebaczy,
Zem cię kochać chciał, dziewczyno,
Żem cię kochać chciał!...

Sol.



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ (1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Pomimo upałów, które w sierpniu zawsze dają się w Wiedniu mocno we znaki, czuł się zdrow i silny, a na brak humoru także się nie mógł skarżyć. „Jestem zresztą zdrow i wesół, jem i piję dobrze,” pisał w jednym z listów do domu, a listy te pisane niedbale, na kolanie, choć bardzo plastycznie i wiernie zdające sprawę z doznawanych przeżyć, także mogły służyć za dowód tego wesołego usposobienia, w jakim Fryderyk czuł się przez te dwa tygodnie pobytu swego *an der schönen blauen Donau*. Oprócz zwykłych na końcu każdego listu umieszczanych słów takich, jak „całuję rączki i nóżki najukochańszych Papy i Mamy,” znajdowały się w nich i żartobliwe wyrazy czułości dla siostr, jak np.: „Dzieciom (tj. siostram) buzi, buzi!” lub: „Dzieci całować, póki dziur nie będzie.” Tak pogodnie usposobiony, w ciągłym rozrywaniu, nawet tęsknić nie miał kiedy, choć do tego zawsze był nadzwyczaj skłonny. „Wiedeń tyle mię oszołomił, zadurzył, omamił, że dwa tygodnie przeszło siedząc bez litery z domu, żadnej nie czułem tęsknoty...” Pod wpływem tego błogostanu zdecydował się teraz w Wiedniu zawadzić także w drodze o Drezno, którego nie znał dotąd, a którego był niezmiernie ciekawy. Mógł sobie na to pozwolić, bo najprzód nie lubił podróżować ściśle według ułożonego z góry programu, a powtóre, że dotychczasowy stan jego finansów przedstawiał się bardzo pomyślnie. „Moje finanse, pisał je-

szcze d. 19 sierpnia, dotychczas dobrze stoją.“ „Wobec tego, dzieciństwem byłoby nie korzystać ze sposobności widzenia Drezna, zwłaszcza, że finanse pozwalają, a we czterech wygodna i tania podróż.“

Tymczasem nadszedł dzień 18-go sierpnia, na który był zapowiedziany jego drugi koncert w Kärtnerthortheater. Tym razem „uparł się“ już grać swoje „Rondo krakowskie“, a choć mu na próbach nie szło z niem odrazu gładko, bo orkiestra nie potrafiła jakoś połączyć się w rytmie, to jednak w końcu rezultat był ten, że nad kompozycją tą ostatecznie nie tylko Gyrowetz, Lachner i inni „unosili się“, ale „nawet orkiestra“ w końcu podzielała ten ogólny zachwyt „mistrzów.“ Ta okoliczność sprawiła, że próby, poprzedzające drugi koncert, wypadły o wiele spokojniej, niżeli owa pamiętna przed pierwszym występem, stosunek na nich Chopina do orkiestry stał się serdecznym i nie nie pozostawiającym do życzenia. Wpłynęło to bardzo korzystnie na usposobienie Fryderyka, do czego także w niemałym stopniu przyczyniło się i to, że publiczność na ten drugi koncert stała się w nierównie większej liczbie, aniżeli poprzednio. „Jeżeli pierwszą razą zostałem dobrze przyjęty, to wczoraj jeszcze lepiej. Trzy razy brawo się wznawiało, gdy się ukazał na scenie.“ Zaczął od „Ronda“, a ogólne wrażenie, jakie ta kompozycja zrobiła na ogóle słuchaczy, równało się powszechnemu entuzjazmowi. „Już nie raz, lecz dwa razy przywołany byłem.“ A jeśli zapał wśród publiczności, objawiający się oklaskami i wywoływaniem, mógł oszołomić genialnego twórcę tego porywającego utworu, to nie mniejszy zapał ogarnął i znawców z zawodu. „Mojem „Rondem“ ująłem sobie wszystkich z profesyi muzyków. Zaczawszy od kapelmistrza Lachnera, aż do stroiciela fortepianów, dziwią się piękności kompozycji. Wiem, iż podobalem się damom i artystom, a Gyrowetz, stojący blisko Celińskiego, krzychał i bił brawo; uczonych i czułych ująłem.“ Na drugi numer, zamiast „Freie Phantasie“, grał na ogólne żądanie raz jeszcze swoje „Waryacje z Don Juana.“ Musiał je powtórzyć „bo się strasznie damom podobały i Haslingerowi.“ Podobnie, jak i za pierwszym razem, tak i podczas tego drugiego koncertu, przychodzili różni melomani i artyści za kulisy winiszować artystę i wyrazić mu swój zachwyt dla jego talentu. „Baron... nie wiem już, jak się nazywa, teatralny finansista, dziękował mi za *recetę*, mówiąc, iż jeżeli zebrano się tak licznie, to z pewnością nie dla baletu, który wszyscy dobrze znają. Schuppanzigh wspominał, że kiedy tak prędko Wiedeń opuszczam (miał wyjechać nazajutrz), to powinienem wkrótce wrócić. Odpowiedziałem, że przyjadę się uczyć. Na to ów baron wtrącił, iż w takim razie nie mam po co przyjeżdżać, co zostało innymi głosami potwierdzone. Są to komplementy, ale pocieszające. Nikt mnie tu za ucznia brać nie chce. Blahetka powiedział, iż się niczemu tyle nie dziw, jak że ja się w Warszawie tego nauczyłem. Odpowiedziałem, iż z p. Żywnym i Elsnerem największy osiołby się nauczyli...“

Ale jak zwykle w podobnych wypadkach, tak i tym razem musieli się znaleźć i tacy

także, co przeszli do opozycji, co nie podzielali ogólnego zachwytu, którym zwłaszcza polskość „Ronda krakowskiego“ i odrębność rytmu krakowiaka nie trafiła do przekonania. A zresztą nie brak nigdy oponentów, gdzie ktoś święci prawdziwy tryumf. Tak stało się i w tym wypadku, a przekonał się o tem Chopin jeszcze tego samego wieczoru, gdy po powrocie z koncertu jadł kolację w sali jadalnej hotelu. „Tylko zakamieniałym Niemcom nie wiem czyliłm dogodził. Wczoraj jeden z nich wraca z teatru, a już siedziałem przy kolacyi; więc pytają go drudzy: jak się bawił? Piękny balet, odpowiedział, ale akademiał! Widać, że mnie poznał, chociaż byłem do niego tyłem obrócony, gdyż o czem innym zaczął mówić. Czulem się w powinności nie przeszkadzania mu w wyłaniu uczuć i poszedłem spać, mówiąc sobie: Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził!“

Następny dzień, 19-go sierpnia, był dniem wyjazdu z Wiednia „wesolej kompanii.“ Dla Chopina był to dzień wizyt pożegnalnych, gorączkowej bieganiny od znajomych do znajomych. „Pani Hussarzewska, u której byłem na pożegnaniu (poczciwi i godni oboje) chciała mię zatrzymać na obiedzie, ale nie miałem czasu, trzeba było lecieć do Haslingera. Ten także po czułych życzeniach powrotu i uczynienia seryo obietnicy, że moje „Waryacje“ wyjdą dopiero za pięć tygodni, ażeby na jesień świat niemi zarzucić, poleca się papie i kłania, choć znać nie ma przyjemności. Byłem teraz u Schuppanzigha i Czernego z pożegnaniem. Czerny czulszy, aniżeli wszystkie jego kompozycje.“ Jeszcze czulszą, aniżeli pedantyczny Czerny, była uroczą panną Blahetką, która z niemałym żalem rozstawała się ze swym genialnym kolegą...

Wśród „czułych pożegnań“, wśród których nie brakło i zwilżonych oczu, do najczulszych należało właśnie to pożegnanie z piękną uczennicą Moschelesa i Czernego ¹⁾. „Panna Blahetka dała mi swoją kompozycję z własnoręcznym podpisem na pamiątkę, a ojciec jej kazał mi uściskać papę, mamę, i powinszować takiego syna. Młody Stein płakał; Schuppanzigh, Gyrowetz, słowem wszyscy artyści najczulej mię żegnali.“

Z Gyrowetzem pożegnał się w kawiarni naprzeciwko teatru, gdzie także przyszli zobaczyć się z nim raz jeszcze i życzyć mu szczęśliwej podróży Lachner, Seyfried i Kreutzer. Wszystkim musiał przyrzec, że wróci. Prócz tego namawiali go, by dał koncert w Pradze Czeskiej, on jednak z góry postanowił nie zastosować się do ich rady, wiedział bowiem, że w Pradze „wywecowano“ niedawno samego nawet Paganiniego, nie miał więc ochoty „psuć tego, co sobie w Wiedniu pozyskał.“

Niemniej czule pożegnał się Fryderyk także i z poczciwym Würflem, od którego w ciągu tych dwóch tygodni doznał tylu dowodów życzliwości i bezinteresowności, a który i teraz jeszcze, żegnając się z nim, dał mu cztery listy polecające do „pierwszych muzycznych figur“ w Pradze Czeskiej, w tej liczbie

¹⁾ „Panna Blahetka, pisał Chopin w liście do Wojciechowskiego, musiała mi być życzliwa, kiedy mi swoją kompozycję na odjeździe z własnym podpisem na pamiątkę dała.“

do dyrektora i kapelmistrza teatru; oraz także list do słynnego fortepianisty i kontrapunkcisty, Klengla, w Dreźnie. Nadmienić wypada, że i Würfel namawiał Fryderyka do dania koncertów, nie tylko w Pradze, ale i w Dreźnie. Prócz listów od Würfla, dostał Chopin także jeden od starego Blahetki do Pixisa, słynnego skrzypka i dyrektora Konserwatorium muzycznego w Pradze.

Pożegnawszy się ze wszystkimi, gdy po powrocie do hotelu zapakował swój tłoćczek, napisał jeszcze, już na wsiadanem prawie, list do rodziców, w którym opisaawszy im swe powodzenie dnia wczorajszego, między innymi tak zreasumował ten swój pobyt i pierwsze tryumfy w Wiedniu: „Chciałem co innego napisać, ale tak mi w głowie wczorajszy dzień siedzi, że nie mogę myśli zebrać do kupy... Dwa razy grałem, drugim razem jeszcze lepiej zostałem przyjęty; idzie to *crescendo*, a zatem tak, jak ja lubię.“

O godzinie 9-ej wieczorem opuścił Chopin z towarzyszami swymi Wiedeń. Odprowadzili go na stację pocztową Nidecki, Niegolewski i Kopytowski. „Wsiadamy do *Eilwagenu*, jakiś młody Niemiec z nami. Ponieważ dwie noce i dzień mieliśmy siedzieć koło siebie, więc zabieramy znajomości. Jest to kupiec z Gdańska, znający Pruszków, Sierakowskiego z Waplewa, Jawurka, Ernemanna, Gresserów i t. p., przed dwoma laty był w Warszawie; nazywa się Normann. Mieliśmy z niego doskonałego towarzysza podróży; wracał właśnie z Paryża. Stajemy w jednym hotelu i postanowiliśmy razem, zwiedziwszy Pragę, pójść do Toeplitz i Drezna.“

Po wielu kuksach i kołatanich w eilwagencie, dnia 21-go sierpnia o godzinie 12-ej w południe zajechano szczęśliwie bez szczególnych przygód w drodze do Pragi Czeskiej. Tutaj, jeszcze tego samego dnia, udali się młodzi podróżnicy do sławnego patryoty czeskiego i konserwatora prażskiego Muzeum narodowego, Wacława Hanki, do którego Maciejowski miał list polecający od profesora Hubego. Chopin zaprezentował mu się: „jako chrzestny syn Skarbka“, co niekoniecznie zgadzało się z prawdą, ale ostatecznie w zupełności mogło zastąpić list ¹⁾.

„Hanka ucieszył się, że mu dał wiadomość o panu Skarbku. Musieliśmy się w jego książkę, poświęconą odwiedzającym Muzeum prażskie, a szczególnie jego względy mającym, wpisać. Jest tam już Brodziński, Morawski i inni. Każdy więc z nas ruszył konceptem: jeden wierszem, drugi prozą. Szwejkowski wpisał perorę. Co tu muzykantowi zrobić? Na szczęście Maciejowskiemu przyszła myśl zrobienia czterech strof mazurka; dorobiłem muzykę i wpisałem się wraz z moim poetą jak tylko można najoryginalniej. Hanka się ucieszył, był to bowiem „Mazur“ do niego, do jego zasług na polu Słowiańszczyzny wystosowany. Dał mi dokompletowanie widoków prażskich dla pana Skarbka.“

¹⁾ „Kończę pisać, bo czas pójść do Hanki. Zarekomenduję mu się, jako chrzestny syn Skarbka; spodziewam się, że nie będzie potrzebna listu.“ List z Pragi z d. 22-go sierpnia 1829-go r. W tymże liście pisze Chopin w innym miejscu: „Żałuję, że mi nie przyszło na myśl pisać do p. Skarbka, prosząc o list polecający do tego znakomitego uczonego.“

Wspomniany tu przez Fryderyka „Mazur“ Maciejowskiego, do którego on dorobił muzykę, brzmiał, jak następuje:

Jakież kwiaty, jakie wianki,
Splotę na cześć Hanki,
Co bratniego ludu pieśni
Z zapomnienia wydarł pleśni.

Oto spiewkę polskich błoni
Przyjmie z naszej dłoni,
Bo to znane jest przed światem,
Że Czech zdawna Lecha bratem.

Gdy się Czechów dziecię ziębi,
Gdy ich obcy gnębi,
Blaskiem zysków się nie udzisz...

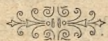
Przyjm więc mężu, czule dzięki
Z uściśnieniem ręki;
Niech Cię uczi w czeskiej ziemi
Nadwiślańskich Słowian plemię!

W Pradze, dnia 23-go sierpnia 1829-go r.

Ignacy Maciejowski ¹⁾.

Ujęty wierszem tym Hanka, a przytem widząc, że ci młodzi czterej przedstawiciele „nadwiślańskich Słowian plemienia“ nadzwyczaj byli sympatyczni, ofiarował się im na cycerona po Pradze, dzięki czemu nadzwyczaj dokładnie stolicę czeską zwiedzili i poznali. „Nie będę się rozpisywał, donosił Chopin rodzicom, gdzie nas wodził, po jakich ślicznych widokach. Braknie mi miejsca na opisywanie wspaniałego katedralnego kościoła ze srebrnym św. Janem Nepomucenem, pięknej kaplicy Wacława, wykładanej ametystami i innymi drogiemi kamieniami. Jak przyjadę, to opowiem... W ogóle miasto piękne, jak z zamkowej góry widać; wielkie, stare i niegdys zamożne. Piorunem, lecz nie bez korzyści, zwiedziliśmy Pragę.“

(Ciąg dalszy nastąpi).



ZE SZTUKI.



Wbrew złowrogim dowodzeniom niektórych kapłanów estetyki naszej, że sztuka plastyczna nie rozwinę się u nas nigdy, i że my, jako Słowianie, możemy być jeno mistrzami słowa, sztuka polska jest, rośnie, rozwija się i bujnym kwitnie drzewem. Jak dzika, osamotniona sosna wśród chłódów północy, rosła ona, pośród obojętności ogółu, odżywiana usiłowaniami genialnych jednostek, które jej niosły w ofierze wszystko — serca, mózgi, ży-

cie... A ona, jak Moloch bezlitosny, pożerała własne dzieci. Historia sztuki naszej jest jednocześnie jej martyrologią. Bracia Gierymscy, Kurzawa, Podkowiński i wielu, o jakże wielu innych!... to świeczniki Nerońskiej obojętności naszego ogółu, oświecające krwawo tę ciemną kartę w historii naszej kultury.

To jednak jest pociecha, że ich praca nie była Syzyfową. Sztuka polska raz przez nich pchnięta, idzie naprzód, rozwija się coraz bogaciej, i choćby tu cały legion Podfilipskich estetyki krzychał na całe gardło, że my nie mamy własnej sztuki, że się zadawaliśmy okruciami z Zachodu, — wystarcza spojrzeć na zawieszony w salonie „zachęty“ królewski „Grunwald“ Matejki, by poznać całą bezpodstawność takich krakań.

Bujnie, powtarzam, wyrosło drzewo naszej sztuki, a tak nieproporcjonalnie szybko, że wysoko wybujało po nad współczesny mu ogół, wyprzedziło jego pojęcia i przekonania o wiele. Ztąd zbyt znaczny rozdźwięk i nieporozumienie pomiędzy artystą a otaczającym go tłumem. W tym ostatnim nadto silnie i głęboko tkwią jeszcze dawne pojęcia estetyczne, by się z nimi mógł nagle rozstać. Patrzy — nie rozumie, czasem umyślnie nie chce zrozumieć. I tu między dwoma temi obcemi żywiołami staje pośrednik — krytyk. Jego zadaniem tłómaczyć zjawiska artystyczne — ich naturę, charakter, pochodzenie. Zadanie, jak widzimy, niezmiernie dziś utrudnione, zważywszy różnorodność dróg i kierunków w sztuce z jednej strony, z drugiej zaś obojętność, ciasnotę lub przestarzałość pojęć ogółu.

Piszącemu w „Bluszczu“ zadanie to atoli ułatwia ta okoliczność, iż mówi do kobiet i to do kobiet inteligentnych. Faktem jest niezaprzeczonym, że o ile samodzielna działalność twórcza kobiety na polu sztuki nie pozostawiła wielkich i trwałych śladów, o tyle jej współdział duchowy — wpływ pośredni duszy kobiecej na twórców — był i jest bardzo znaczny, już choćby przez samą piekność, o której mówi poeta, że „w duchu będąc, może robić cuda.“

„Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,
Zwyczajną bronią w rękę i koleczuga
Sercu, i słońcem, które świeci nocą
I panią razem, i razem być sługą
I nawet w świecie aniołów pomocą“ ^{*)}.

Kobieta, jako istota, w której pierwiastek uczucia — serce przeważa po nad umysłowością, zdolna jest bardziej odczuć sztukę, gdzie tak wiele, jeżeli nie wszystko, polega na uczuciu. Przytem kobieta, jako mniej zajęta ważnemi sprawami tego świata, jak: giełda, polityka i t. d., które absorbują całkowicie umysł mężki, więcej czasu poświęca i żywiej interesuje się sztuką, która czasem staje się jedyną jej pociechą i podporą w życiu.

Wyrazem i żywym dowodem tego zainteresowania się był dzień otwarcia „Wystawy Wiosennej“ u Krywulta. Dzień był jasny, letni, jak konwalia świeży. Schody ciemną umajone zielenią, wśród której surowo białe odbijały gipsy. Na wystawie tłum. Grono zaproszonych, po za tem sami artyści, a u ra-

mienia każdego zwieszona niby motyl barwny — ona — Beatryce. Ta obecność kobiet w dniu urzędowym otwarcia, nadawała wystawie charakter prawdziwie wiosenny, tak harmonijnie łączyła się z tłem, i tworzyła całość tak oryginalnie artystyczną, że uważam sobie za obowiązek, jako piszący o sztuce, szczególnie ten zaznaczyć.

Po za tem przejdźmy do samej wystawy.

Nosi ona nazwę: „Wystawa wiosenna młodych polskich artystów“ (dlaczego nie młodych artystów polskich?).

Podkreślam wyraz młodych, albowiem dużą wystawę wiosennej, owym cementem wewnętrznym, łączącym wszystkie dzieła wystawione jedną nicią nerwową, niewidzialną — w myśl urządzających, miała być młodość.

Wspaniałe zjawisko życiowe młodości podwójny przybiera charakter w sztuce. Młodość — to wulkan zapалу twórczego, wiecznie żywy i buchający; — ogień światoburczy, jednostronny może, nie zrównoważony, lecz potężny i w swej nierównej potędze właśnie świetny.

Lecz młodość — to także brak doświadczenia, naiwność sądów, branie liczmanów za złoto, uganianie się za efektami jaskrawemi, lecz powierzchownemi, wreszcie poza sztuczną i oryginalność robiona nieraz jedynie „pour épater le bourgeois.“

Otóż rozpatrzywszy się na wystawie wiosennej w Salonie Krywulta, przyjdziemy do przekonania, że przeważa tu młodość w tem znaczeniu drugiem. Nie dowodzi to zgoła, by na wystawie nie było prac o charakterze twórczym. I owszem. Ogólnie jednak uderza sztuczny ton i łowienie oryginalności.

W Salonie paryzkim jest dla wystawionych dzieł miejsce honorowe, tak zwana „cimaise“ — gzyms, na którym zawieszają wybitniejsze prace. Ku gzymsowi temu, w miejscu najlepiej oświetlonym, najpierw zwracają się oczy widza. Gdyby ów gzyms wyróżnienia istniał w Salonie Krywulta, to na nim z dzieł umieszczonych na wystawie wiosennej, powinnyby zająć miejsce prace Ignacego Pięnkowskiego i Felixa Jabłczyńskiego z malarstwa, a z rzeźby dzieła Bolesława Biegasa.

Pięnkowski — znany z doskonałych portretów, które wystawił przed kilku laty, dał tym razem sześć prac („Romans“, „Noc“, „Portret“, „Studyum“, „Ekran“ i „Przed sądem“). Z pośród nich najwyżej stawiam „Romans.“

Przy fortepianie siedzi młoda kobieta w ciemnej gazowej sukni. Za nią, jako tło, czerwona ściana, na którą pada jaskrawe światło. Drga ono na podłodze, w powietrzu. Źródła światła nie widać. Obraz komponowany na barwę, przedstawia ciekawy efekt świetlny, — a efekt ten przeprowadzony jest z takim poczuciem kolorystycznym i tak harmonijnie; w układzie barw, choć śmiałym bardzo, tyle jest smaku; przejścia całej gammy tonów od jaskrawej purpury do zimnego błękitu tak są subtelne, że obrazu tego nie waham się postawić na pierwszym miejscu wystawy.

„Portret“ choć o wiele słabszy od „Roman-su“, odznacza się czystością barw i żywym wyrazem twarzy. Poza tylko jest sztuczna i wymuszona.

¹⁾ Zob. czasopismo czeskie „Dalibor“ № 6 za rok 1879: „Chopin w Pradze“, przez d-ra O. Hostińskiego; K. Wl. Wójcicki „Cmentarz Powązkowski“, II. 262. Podaje tam Wójcicki udzieloną sobie przez Franciszka Maciejowskiego, brata Ignacego, następującą wiadomość, którą tu jako dopełnienie relacji Chopina nie od rzeczy może będzie przytoczyć: „W Pradze odwiedzili gośnego już wtedy uczonego, Wacława Hanka, a że obydwa (Chopin i Maciejowski) byli wesołego oblicza i obejścia, niezmiernie mu się podobali. W dowód zatem przyjaźni Hanka prosił ich, żeby mu w sztambuchu pamiątkę skreślili. Wzięli więc do mieszkania tę książkę pamiątek: mój brat Ignacy ułożył wiersze o braterstwie Lecha z Czechem, a Chopin skomponował stosownego Mazurka. Oddali Hance sztambuch, w którym starannie skreślili nuty i wiersze. Bardzo się tem ucieszył Hanka, powtarzając, że jeszcze mu się nie zdarzyło widzieć coś podobnego w sztambuchu.“

^{*)} „Beniowski“, pieśń XII-ta, wydanie pośmiertne.

Pozostałe prace nie dorównują pierwszemu. Krajobraz nocny nieprawdziwy w kolorze, przypomina dekorację teatralną z fantastycznego baletu.

„Ekran“ o barwach surowych, niezharmonizowanych, nie wykazuje niczem tak wytwornego kolorysty, jakim jest Piehkowski.

Z kolei przejdźmy do prac p. Felixa Jabłczyńskiego. Pamiętam z przed lat kilku pracę p. J. Była to główka królowej z bajki — coś niby Maeterlinckowska Malena — wystylizowana na tle poplątanych sztucznie pnączów. Praca była nawpół dyletancka jeszcze. Na wystawie „wiosennej“ p. Jabłczyński wystąpił z szeregiem dzieł, z których przemówił nie tylko silny talent malarski, lecz zarazem głęboka, poetyczna dusza. Czy to w pięknym, fantazyjnym krajobrazie „Świt nad miastem“, czy w szczerych, bezpretensjonalnych szkicach z Wenecji, czy też w pejzażu, zatytułowanym „Capriccio“, — tkwi indywidualność samodzielna, zdecydowana, idąca swoją, odrębną drogą. P. Jabłczyński unika barw jaskrawych. Obrazy jego wydają się jakby mgłą zasnuć. Lecz pomimo tak zmniejszonej skali barwnej, zaznaczone są w nich bardzo subtelne przejścia; spadek kolorów jest łagodny, doskonale harmonijny.

By dokończyć z gymsem, porzućmy na chwilę malarstwo i przejdźmy do wielkich grup gipsowych p. Bolesława Biegasa. Sam autor — postać z legendy. „Syn ziemi“ — młodociane pacholę wiejskie od krów z roli oderwane, pędzi nad Sekwanę w sam wir prerafinowanej cywilizacji. To zetknięcie się w duszy artysty dwóch odrębnych światów — surowej bezpośredniości dziecięcia natury z wiekowym wyrobieniem i konwencją kultury zachodu, — to wzajemne ich na siebie oddziaływanie i przesiąkanie się sobą jest ciekawym zjawiskiem psychologicznym.

Rok mija i młody barbarzyńca podbija Paryż i podbija go nie wytworną umiejętnością, lecz tą siłą niepohamowaną, która bije z prac jego. Są one niekształtne, potworne nieraz, lecz bucha z nich brutalna moc „syna ziemi.“ Prawdziwie mazurska zaciętość tkwi w tych kurczowo zaciśniętych pięściach, szczękach wydatnych i zwartych mocno zębach. Dziś Biegas znajduje się jeszcze w okresie przetwarzania duchowego. Za dużo w nim niepokoju; za prędko i za wiele naraz wchłonął z zachodu, by mógł to od razu przetrwać w sobie. Kłębi się w nim dusza, gotuje i wyrzuca bezładnie dzieła, nieraz własnego poczęcia twory, nieraz echa obcych koncepcji. Niekiedy naśladuje sam siebie, np. w ulubionym motywie zaciśniętych pięści ludzkich lub zębów, który się powtarza, jako umówiony symbol, w każdej prawie pracy.

Biegas rzuca się na tematy olbrzymie: „Wszechświat“, „Księga życia“, „Chrystus“, „Potężny Duch“. Piękną jest ta nieokiełznana odwaga, to nieustraszone spojrzenie w oczy najgłębszym zagadnieniom istnienia. Ale sama myśl olbrzymia to jeszcze nie wszystko w sztuce. Idzie o odpowiednio olbrzymi jej wyraz, o proporcjonalny stosunek formy do tematu. I tu nieraz artysta zawodzi myśliciela. O ile taki Chopin, grający na klawiaturze z rąk ludzkich wśród chóru głów,

zawodzących jakąś pieśń bólu czy żalu, — jest głębokim i potężnym wyrazem wszechcierpienia, o tyle kompozycje zatytułowane „Wszechświat“ lub „Księga Życia“ nie wyczerpują ani w drobnej części swoich olbrzymich tytułów. Istota jakaś potężna kołysze na swych dłoniach dwoje zbiedzonych, rachitycznych dzieci. Jaki łącznik zachodzi między temi trzema osobami? Co ma wyrażać to ich artystyczne powiązanie, z tego widz nie zdaje sobie sprawy, co gorzej, tego wcale nie odczuwa. Gdy Rodin pokazuje mi dłoń olbrzymią, gotową do zawarcia się, a na niej miniaturowych mężczyznę i kobietę w miłosnym splecionych uścisku, to mam przed sobą we wspaniałej artystycznej formie konkretny wyraz najbardziej oderwanej, nieuchwytniej, tajemniczej potęgi bytu — zwanej instynktem płciowym. Biegas zaś daje mi rebus, nad którego rozwiązaniem muszę łamać sobie głowę. Tyle co do duchowej strony jego dzieł. Co się zaś tyczy samego rzeźbiarstwa, to trzeba przyznać, że w wystawionych pracach czuć wysiłek, walkę z wymykającą się formą i materyałem, widać niedostateczne opanowanie tej formy, brak studyów głębszych, co znów jest kwestyą jedynie czasu i woli.

Porzucając gzymszaszczytny, przejdźmy znów do malarstwa, gdzie przeważają krajobrazy, wśród których dużo miejsca zajmują prace p. Stanisława Czajkowskiego (dodaję imię, gdyż, jak i dwóch Breyghelów, jest i dwóch pp. Czajkowskich: Józef i Stanisław).

Otóż prac tego ostatniego pewien odłam krytyki warszawskiej nie wahał się postawić na czele naszego współczesnego malarstwa krajobrazowego, podnosząc ich szczerą i bezpretensjonalność układu, i szczególnie bijąc na ich swojskość, jak gdyby polskość krajobrazu zależała od umieszczenia na nim gnojówki lub tarzających się świń. Ja zaś niektóre prace p. Stanisława Czajkowskiego uważam za studia jeno — nie obrazy, notatki, posiadające niewątpliwą wartość dla samego autora, z których tenże, przesiawszy je przez sito duszy, może stworzyć obraz. Na innych pracach czuć wpływ obcy („Noc“ np., jest echem podobnych nocy Chełmońskiego).

Wyżej pod względem artystycznym stawiam bezpretensjonalne studia z Hollandyi p. Józefa Czajkowskiego, będące szczerem wyrazem bezpośrednich wrażeń z natury.

Pp. Stabrowski i Wróblewski należą do odrębnego grona t. zw. kresowców, t. j. artystów, zamieszkałych na odległych krańcach kraju. Czoło kresowców stanowi Ferdynand Ruszczyc, talent dużej miary. Należą do nich także Żukowski i Nałęcz. Grupa, malująca przeważnie krajobrazy, znajduje się pod bezpośrednim wpływem malarstwa rosyjskiego, gdzie krajobraz stoi bardzo wysoko. Taki np. Lewitan lub Dubowskiej — to pierwszorzędne siły malarskie, pionierowie nowych dróg w dziedzinie krajobrazu. Pociągają oni za sobą całe gromady talentów pomniejszych.

P. Wróblewski wystawił obraz pod tytułem „Zmarzły staw w Tatrach.“ Obraz ten okrzyknięto, jako objawienie krajobrazowe. Kto widział Lewitana takie np. Alp wieczne śniegi, wstrząsające swą grozą, skupieniem i ciszą, dla tego obraz p. W. przestanie być rewela-

cją. Układ barw, przeprowadzony z pewnym nawet smakiem, nosi charakter oleodrukowy.

P. Stabrowski dał cztery prace, z nich najlepszą jest „Cisza.“ W obrazie tym istotnie jest nastrój wieczorowy. Inne np. „Łazienki“ mają dziwnie brudny ton błotnisty.

Stanisław Masłowski wystawił duży krajobraz z nagą dziewczyną, zatytułowany „Nimfa leśna.“ Postać nimfy tak jest zaniedbana w kolorze, trykotowo-cielista i banalna w wyrazie, że tembardziej odbija od szczerze odczutej, prawdziwego krajobrazu.

Prace p. W. Weissza z Rzymu są objawem chwilowego osłabienia tego bardzo tegiego talentu.

P. Gawińskiego „Portret damy“ — prerafaelistyczne zapędy bez wielkiego rezultatu.

W pół dyletanckich pracach p. Ulanowskiego jest wiele temperamentu artystycznego.

P. Krzyżanowski wystawił 7 portretów. Ktoś nazwał p. K. malarzem złośliwym. Oto badając fizyonomię portretowaną, podchwytuje on jej główny rys zasadniczy, będący wyrazem jakiejś ujemnej cechy charakteru lub słabości danego osobnika; rys ten podkreśla mocno, potęguje go nieraz do karykatury; mówiąc po aktorsku „szarżuje.“ Pod jego palcami twarz wytwornego estety i poety przemienia się w opasłą gębę smakosza, z artysty dramatycznego robi pieczeniara, delikatny kameowy profil kobiecy przerabia na zniszczoną twarz wyranżerowanej cyrkówki. Niemniej p. K. jakimś drobnym na pozór szczegółem umie tchnąć w przedstawioną twarz życie, czy to przez błysk oka, czy przez zmarszczki twarzy. Mnie p. Krzyżanowski przypomina Reymonta w literaturze. Ten sam w obydwóch pęd, rozmach szalony, ten sam brak subtelniejszego czucia, to samo wreszcie wypiętrzanie aż do karykatury trafnych nieraz obserwacji.

Pośród młodych błąka się p. Antoni Kamiński, znany ilustrator. P. K. wystawił doskonały rysunek znany z „Tygodnika“, przedstawiający „Babcie z wnuczką“, świetny w wyrazie; dalej portret własny — w romantyczno-Grottgerowskiej manierze utrzymany; portret szkicowy Sady-Yacco, oraz portret dwóch mężczyzn; ten ostatni zaliczam do słabszych prac Kamińskiego; nie odznacza się ani plastyką, ani siłą charakterystyki.

Bardzo dobry portret własny wystawił p. Tadeusz Okoń; doskonale rysowany, odznacza się plastyką i żywością.

Edwarda Okunia „Judas“ — jest kompozycją sztuczną — chybioną.

P. Wyszyńskiego „Improwizacja“ jest objawem chorobliwego przedrażnienia nerwu wzrokowego.

* * *

Wystawę urządzono ze smakiem, i co jest rzadkością w stosunkach warszawskich, katalog ilustrowany wydano na czas.

Kacper Stan.



Czy i to emancypacja?



Dobry mój przyjaciel, człowiek zany i dzielny, przysłał mi zawiadomienie o swych zaręczynach. Znałam od dawna jego narzeczoną i szczerze ucieszyłam się z jego wyboru. Dwoje młodych, zdrowych, szczerze przez naturę i losy uposażonych ludzi miało wkrótce połączyć się „aż do śmierci“ i nową utworzyć rodzinę. W wyobraźni widziałam śliczną, jasną główkę narzeczonej, opromienioną radością i szczęściem i jej wysmukłą, młodocianą postać, tulącą się z zaufaniem i miłością do silnego, pełnego energii mężczyzny.

Idąc za przyjętym od wieków zwyczajem, wybrałam się do rodziców przyszłej panny młodej w celu złożenia moich życzeń. Znalazłam się w istnym łu. Ktokolwiek, kiedykolwiek znajdował się w stosunku towarzyskim do państwa X., spieszył do nich również dla wyrażenia powinszowań. Narzeczoną z przymuszonym nieco uśmiechem, dziękował na prawo i lewo, a miluchna narzeczona stała obok, widocznie zmęczona, i... znudzona. Natomiast matka jej była wprost uniesiona dumą i weselem.

— Spójrz pani—mówiła do mnie, wskazując na swych gości—jak się wszyscy z nami cieszą! Dopieroż to będzie wesele! Nie wiem, doprawdy jak sobie poradzę... czy lepiej urządzić wszystko w domu, czy może lepiej w tym nowym, takim świetnym hotelu... tam byłoby bardzo „szyk.“ Rodzinę, jak drogiej pani wiadomo, mamy ogromnie liczną, znajomych trzeba prosić wszystkich... Na panią liczę napewno...

Spojrzałam na nią poważnie.

— Na mnie?... daruje szanowna pani, ale na mnie proszę nie rachować wcale...

— Dlaczego?

Wejście nowych gości uwolniło mnie od odpowiedzi, lecz wypowiadam ją tu, zwracając się nie do jednej a do wielu matek, przede wszystkim zaś do owych młodych, wstępujących na drogę świętych obowiązków istot, których mi często tak żał serdecznie. Pragnę choć słabym słowem przyczynić się do podniesienia etyki form i zwyczajów, przyjętych przy obchodzie uroczystości weselnych, z pod których wyłamać się nie umiemy, a które tak dalekiemi są od właściwego nastroju, jaki towarzyszyć powinien tak uroczystem, podniosłym chwilom.

Kapłan wypowiedział słowa sakramentalnej przysięgi, „młodzi“ powtórzyli ją za nim przejęci, wzruszeni... poważne tony organów wnioskują im do głębi duszy, mimowiednie lęk jakiego ogarnia... „to na całe życie“.

Nie otrząsnęli się jeszcze z nastroju, jakim przejęła ich świętość ceremonii i miejsca, aliści karetą zatrzymuje się przed domem, w którym za chwilę uczyni się tłumno i gwarno, albo, co jeszcze gorzej, przed rzęsiście oświetlonym hotelem.

Cały uroczysty nastrój rozwił się odrazu, niewysłowny czar chwili, która się już nigdy w życiu nie powtórzy, prysnął.

Gwar obcych głosów, szelest sukien, zdawkowe serdeczności, banalne komplementy, wszyst-

ko to razem zbyt rażące stanowi przeciwieństwo z rzewną powagą i ciszą, jakie nowożeńców otaczały w kościele.

Zaczyna się ucztą. Im więcej dań, im więcej gatunków wina, tem bardziej podniesiony „nastrój“, to jest, tem głośniejszy gwar przy stole, tem dowcipniejsze i dłuższe toasty i mowy.

I w tym oto zgiełku, w atmosferze przesiąkniętej zapachem potraw i wina, w otoczeniu piciem i jadłem rozgrzanych twarzy, siedzi panna młoda, punkt środkowy, ku któremu zwracają się wszystkie oczy: ciekawe, litosne, cyniczne, zawistne, a w małej tylko liczbie serdecznie życzliwe.

Jestem pewna, że niejedna panna młoda radaby usunąć się czempredzej od uczty weselnej, że ją gwar podniesionych głosów razi, a ciekawe spojrzenia mieszają dziwnie. Uczucie jakiegoś niewyraźnego mówi jej, że nie tu jej miejsce, przy obficie zastawionym stole; radaby jeszcze raz przed odejściem z domu rodzicielskiego przytulić się swobodnie, bez świadków, do serca matki, lecz siedzi pokorna i cicha, albowiem tak zwyczaj każe.

Co do mnie, przyznam, że jeśli uczty weselne, mają koniecznie być wyrazem radości dwóch łączących się rodzin, jeśli uważamy, iż dają możność przyjaciółom i znajomym wypowiedzenia życzeń nowożeńcom i ich rodzinom, przez to zaś utrwalają niejako towarzyskie stosunki, niechajby wyprawiane były w miesiąc, czy tam tyle a tyle tygodni po ślubie. Wtedy i młodzi zabawiliby się ochotczo, a zabawa zgiełkliwa nie byłaby w takim rozdzwieku z nastrojem ich dusz.

Tyle co do samej etyki zwyczajów towarzyskich. Ach, żeby to przynajmniej o samą etykę chodziło, ale dla iluż to żeniących się „wesele“ jest poprostu ruiną!... Bierz z kądem chcesz, aby wesele było sute. A potem co? Potem od pierwszego dnia miodowych miesięcy długi do płacenia, początek niedostatku.

Zaledwie średnio zamożny rzemieślnik wydać córkę za mąż a muszą być: karety, stroje, kolacja wystawna, zamówiona w restauracji. Trochę „lepsza“ służąca też jedzie do ślubu w karecie i wydaje na wesele wszystkie, przez lata pracy zaoszczędzone grosze. Czyż nie rozumniej, uczciwiej zachować je na kupienie najpotrzebniejszego dobytku?

Wiem, że przez sfery, o których teraz mówię, słowa moje czytane nie będą—ale wpływ zazwyczaj idzie z góry. Państwo X. choć w ciężkich znajdują się interesach, wyprawili córcę jeszcze wspanialsze wesele, niż państwo Y., ludzie wielce bogaci. Obywatel Z. pojechał do ślubu w nowej karecie, choć się zapożyczył u żyda; nie mógł atoli postąpić inaczej wobec tego, iż pan R. sąsiad jego, magnat, sprawił do ślubu nową karetę i zaprzęgi. I tak dalej, dalej. Lecz tak samo, jak zły przykład wyrobił owo niezdrowe, nedorzeczne silenie się na zbytek, tak samo zwolna, stopniowo, odciągnąłby od niego dobry przykład sfer oświeconszych, które powinny raz nareszcie otrząsnąć się z tej niegodnej szlachetnego człowieka komedii blichtru i odważnie, postępowaniem własnym, przyznawać się, że odmawiają sobie tego lub owego, z powodu prostej przyczyny braku odpowiednich ku temu środków.

— Narzeczone, wy jako młode, na myśl nową wrażliwsze, wy pierwsze, zerwijcie z zาดawnionym zwyczajem!... W ciszy i spokoju żegnajcie się z domem rodziców, z niezatartym wrażeniem ich błogosławieństwa i świętości przysięgi, wypowiedzianej w kościele, niechaj za wami gonią spojrzenia tych tylko, którzy wam są najbliżsi i szczerem sercem życzliwi. Pomyślcie jaka to ważna i uroczysta chwila!...

Zofia Seidlerowa.



Kilka uwag!

Odpowiedź autorowi art.: „O cnotach i wadach kobiecych.“



I.

W numerze 31-y „Bluszczu“ zamieścił pan St. Ochocki artykuł pod tytułem „O cnotach i wadach kobiecych“, w którym chcąc być bezstronnym, potępił w czambuł wszystkich mężczyzn, twierdząc, że myśmy przyczyną wad kobiecych, motywując mylnymi przyczynami, czyli, że w sedno nie trafił.

Myśli płyną z pod pióra szanownego autora, a coraz to bolesniejsze dla brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego, i chyba nie wypadłoby nam, po przeczytaniu owego artykułu, nic innego uczynić, jak wpisać się w szeregi „braci biczowników“ i wymierzyć sobie co najmniej 50 plag w obnażone plecy, ilekroć spotkamy jaką strojnisię lub plotkarę, bo wszakże myśmy temu winni.

Takby wypadło zrobić, gdyby uwagi, w powyższym artykule zawarte, były w zupełności słuszne. Tak jednakże nie jest. Autor popełnił błąd przez to, że nie umiał zachować *auream mediocritatem!*

„Jeśli znajdziemy się w towarzystwie dwóch panien, twierdzi autor wspomnianego artykułu, z których jedna ubrana skromnie, będzie zachowywała się poważnie, druga zaś ukaże z pod tiulów i koronek tak zwane „puchy łabędzie“, każdy z nas niewątpliwie rzuci się na kolana przed zalotnicą.“

Kto chce pisać artykuł, tak głęboko w istotę psychologii mężczyzn i kobiet sięgający, winien posługiwać się jak najmniej obrazowaniem, a trzymać się jak najwięcej realnej prawdy.

Ten sam błąd, co autor powyższego artykułu, popełniają ci z mężczyzn, którzy twierdzą, że pędzą żywot w celibacie, gdyż spotykali same zalotnice, a spotykali je rozumie się po balach.

Zdanie autora i zdanie tamtych ubliża wielkiej liczbie niewiast, zasługujących na szacunek.

Nie każda, ukazująca „puchy łabędzie“, jest zalotnicą, nie każda skromnie ubrana, jest probierzem cnoty. Jeśli bowiem pierwsza może to czynić dla mody, druga może się tylko stroić w suknie skromności.

Kto chce poznać kobietę, niech jej nie sądzi z pozorów, z balowej sukni, gdyż wątpię, by autor przypuszczał ukazywanie puchów łabędzych tam, gdzie są toalety spacerowe,

lub w domu, lecz raczej niech wnuknie w treść jej uczynków w ich intencje i pobudki, jeśli wnuknąć umie lub zdoła.

Lecz autorowi nie chodziło zapewne o tak lub owak ubraną, ale raczej o mniej lub więcej godną prawdziwego uczucia i twierdzi, że każdy z nas *niewątpliwie* upadnie na kolana przed tą, która mniej godną świętej miłości, a tylko lechce zmysły, porzuci zaś w zapomnieniu tę, która za cały powab swój ma piękną duszę i nieskalane serce.

Szanowny autorze! zdarza się to, jednak na szczęście z pod pióra twego wypłynęła charakterystyka wypadków, które są w znacznej mniejszości; na szczęście, mówię, społeczeństwa, gdyż jednostki nie są jeszcze tak płytkie, czece, niemądre i zepsute, jakimi ty chciałbyś je widzieć.

Niejednokrotnie obracałeś się w kołach „kawalerów“, niejednokrotnie tedy słyszeć musiałeś z ust ich zdanie: „to ładna panna, lecz tylko do zabawy!“.

Tak! — z zalotnicą igra młodzież, jak motylek z kwiatkiem. Siądzie, upoi się jego wonią i odleci, zapomniawszy o nim. A przecież i motylek nie szuka przytulku dla poczwarki w bujnym i wonnym kielichu kwiecia, wiedząc, że on wnet zwiędnie, lecz na skromnej lodydze lecz pod skromnym listkiem.

O ileż tedy grać ma rolę nasze gonienie za wrażeniami w sprawie zalotności kobiety?

Część prawdy jest autora powyższego artykułu, gdyż strojnisi i zalotnice, są takimi dlatego, że chcą się przypodobać i złowić dla siebie męża. Nie mniej jednak prawdą pozostanie, że obok tego miodu niejedna mucha kręcić się będzie, zanim jedna nierozważna się nań nalepi. Dlaczegoż tedy, Szanowny autorze, pisząc artykuł, opisałeś tę jedną niemądrą, co się dała złapać, zapomniawszy zaś o całym roju tych, które pokręciwszy się, odleciały! Dlaczego zapomniawszy o tej starej prawdzie, że najpiękniejsze za mąż nie wychodzą, a przecież i to zdanie na czemś oparcie znaleźć musiało, jeśli się rozrosło.

Nie rozumiem już zupełnie, w czym jesteśmy winni plotkarstwa kobiet?...

Znana to rzecz, że plotkarkami są te, którym brak tematu do rozmowy, gdyż te muszą sobie temat wyszukiwać, a nie mogąc go znaleźć, mają się czegośkolwiek, a więc dyskusji nad wadami sąsiadów i znajomych. Wszakże to najobszerniejsze pole do popisu, z błahostek wysnuwać wielkie wnioski.

W czym innem tkwi jednak wina brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. W naszym zafaniu, w naszych przestarzałych przekonaniach, że kobieta dla garnków, a nie dla nauki, którą objawwszy w monopol, chcemy dla siebie wyłącznie zachować.

Kobieta wykształcona, nie będzie plotkarką, gdyż nie braknie jej nigdy tematu w konwersacji, kobieta wykształcona nie będzie zalotną i rozrzutną, gdyż mając obfity pokarm dla duszy, nie będzie potrzebowała trawić dnia na wymyślaniu strojów i świecideł.

Kobieta usamowolniona przypodobywać się będzie nam samodzielnością i wiedzą, siłą charakteru i hartem duszy, i przestaniemy patrzeć na nią, jak na wątły kwiatek, a zaczniemy ją cenić, jako granitowy filar, podpierający wspaniały gmach życia wspólny z mężczyzną.

Zrzućmy z siebie zastarzałe przesady, że kobieta ucząca się, rwie się do rzeczy niedościgłych, jak dziecko, wyciągające rączkę po gwiazdkę, a i kobiety staną się innemi.

W tem przyczyna, nie zaś, jak autor chce, w naszej niemądrości, nie w tem byśmy mieli iść na lep blichtru, jak mucha daje się złowić na szczyptę cukru, nie bacząc, że wraz z nim ssie truciznę.

K. Kornicki.



Z listów do „Bluszczu.“



Kraków w lecie 1902-go roku.

Z pomiędzy rozlicznych objawów życia i działalności niewieściej wspomnimy o kilku ważniejszych. I tak, z wiosną już Koło pań, stanowiące jeden z oddziałów Towarzystwa szkoły ludowej, postanowiło obchodzić dziesięciolecie istnienia tegoż. W maju urządzone nabożeństwo, wieczorek dramatyczno-deklamacyjny w teatrze ludowym i skromny bankiet wspólny, a co było najważniejszym, złożono sprawozdanie z działalności Koła, którego prezydentką jest obecnie p. Idalia Pawlikowska, czynną i niezmordowaną wiceprezydentką p. Marya Siedlecka, a skarbniczką p. L. Owczarkiewiczówna.

Z rachunków przedłożonych Zarządowi Koła okazało się, iż wierne postawionemu sobie zadaniu, zebrało i rozdało przez te lat dziesięć, z górą sto tysięcy koron na szkoły ludowe, zakładane i wspierane przeważnie na kresach Galicyi. I tak ku uczczeniu jubileuszu Asnyka, zdołało zebrać Koło przeszło 30,000 reńskich na założenie szkoły w Białej Szląskiej; ostatniego znów roku otworzyło szkołę imienia Królowej Jadwigi w Żwardomie, nie mówiąc już o szkołach we wschodniej Galicyi, pod Ostrawą Morawską i innych, które otrzymywały obfite zasiłki w pieniądzu i książkach.

Koło t. zw. III-cie tegoż Towarzystwa zajmuje się, jak nam wiadomo, wyłącznie zakładaniem po miastach bezpłatnych wypożyczalni książek, podczas gdy T-wo Oświaty ludowej otwiera po wsiach coraz to nowe czytelnice. Tu i tam wiele kobiet rozwija pożyteczną działalność, zwłaszcza w miejskich wypożyczalniach, gdzie wydawanie książek przy wielkim napływie czytelników jest nader uciążliwe. Bywa tak, że na godzinę 50—70 tomów wypożyczyć trzeba, odbierając w zamian drugie tyle, a sprawdzając i zapisując jedno i drugie w osobnych księgach.

Jednocześnie z krzątaniem około rocznicy dziesięciolecia i zjazdu delegatów Kół z całej Galicyi, wypadło Towarzystwu Szk. lud. zająć się przyjęciem Szlżaków, którzy w liczniejszym, niż zazwyczaj gronie przybyli nawiązać gród Krakusowy około Zielonych Świątek, a po części wzięli udział w bankiecie Koła Pań. Tu więc obok górników szlżkich, młodzieży uniwersyteckiej, redaktorów, profesorów lwowskich i krakowskich, zasiedli delegaci włościańskich kółek, biorących udział

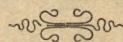
w pracach T-wa Szkoły ludowej. Śród gwarnej, ożywionej gawędki i często wznoszonych toastów, odzywali się po kolei goście i gospodynie bankietu: młoda, w wiejskim stroju nauczycielka z Tarnobrzega, delegatka miejscowego koła wyraża wdzięczność za inicjatywę i pomoc doznaną od Zarządu, a mówi serdecznie, z zapalem, witana oklaskami; po przemowie prezesa Koła, prof. Bandrowskiego, odzywają się włościanie w barwnych sukmanach, redaktorowie i redaktorki pism, akademicy, wreszcie górnicy, którzy dziękowali za gościnność doznawaną niejednokrotnie od krakowskich pań i panów.

Nastrój był wzniosły a serdeczny; prosto zaś z uczty pospieszono na obrady Towarzystwa, odbywające się przez trzy dni z rzędu w sali Rady miejskiej. Słuchaczki Uniwersytetu, oprowadziwszy wraz z kolegami gości, którzy grupami zwiedzali pamiątki miasta, zakrzętały się przy wieczery urządzonej dla kilkuset Szlżaków, w jednej z restauracji miejskich, gdzie służba wystarczyć nie mogła przy tak licznej zgromadzeniu.

Ile użytecznych planów i projektów powstało z okazji tych zjazdów i narad, okaże się później, gdy zaczną w czyn wchodzić.

Tak więc rok bieżący odznacza się mnogością obchodów i uroczystości, co jednak nie przeszkadza w poważniejszej pracy, do której się coraz liczniej garną dziewczeczki ze wszystkich stron kraju. Na osobne sprawozdanie zasługują powstałe tu od niedawna dla kobiet Szkoły Sztuk Pięknych oraz przemysłu artystycznego i o tych z czasem obszerniej pomówimy.

S.



Kronika działalności kobiecej.



— Szkoła niedzielna dla rękodzielniczek, o której pisaliśmy przed paru miesiącami, została otwartą pod kierunkiem projektodawczyni, panny Zofii Orłowskiej, przy ulicy Nowogrodzkiej pod n-rem 28. Zapisujemy wzmiankę tę z powtórzeniem szczerzego uznania dla zacnej inicjatorce i z życzeniem serdecznem jak najpomyślniejszego rozwoju dla tak pożytecznej, tak naszemu społeczeństwu brakującej instytucji. Nie należy wątpić, że osoby, od poparcia których ów rozwój zależy najbardziej, szczerdzić go nie będą, — z dumą powiedzieć sobie możemy, że i w naszym społeczeństwie nie brak dziś kobiet dzielnych, szlachetnych i rozumnych, dobro ogółu mających za cel najszczytniejszy.

Zapisy w szkole p. Zofii Orłowskiej przyjmują się przy ulicy Nowo-Wielkiej nr 28, od dnia 24-go sierpnia do 7-go września r. b. W dni powszednie od godziny 7—9 wieczorem, w niedziele od 3—5. Opłata miesięczna wynosi kop. 50.

— Stowarzyszenie kobiet, pracujących na drodze handlowej na Węgrzech, obchodzi w sierpniu r. b. pięciolecie swego istnienia. W dzień jubileuszu dopełnioną zostanie liczba członków do tysiąca. Na czele tego, w tak krótkim czasie znakomicie rozwiniętego stowarzyszenia, stoi panna Rosika Schwimmer, dzielna i pełna zasług pracowniczka na polu ruchu kobiecego.

— Szczegółowy pogląd na prawo głosu, uzyskane przez kobiety w rozmaitych krajach,

podaje amerykański dziennik „Womens Journal.” — Przed 70-ciu laty nigdzie na świecie nie posiadały kobiety prawa wyboru. W r. 1838-m Kentucky pierwsze dało kobietom prawo głosu przy wyborach do szkół, — w 1850 takie samo prawo uzyskały w Ontario. Dopiero po 70-ym roku poszły za tym przykładem inne Stany.

Anglia udzieliła kobietom prawa głosu przy wyborach gminnych w 1869 r., Zachodnia Australia, w 1871, — Szkocja w 1881. Pełne prawo wyboru zdobyły kobiety w Wyoming w 1870 r., w Colorado w 1893, — w Utah i Idaho w 1896.

Obecnie Stany Zjednoczone przyznały kobietom, płacącym podatki, prawo głosu we wszystkich kwestiach podatkowych. — We Francji dopuszczono kobiety przy wyborach na sądy rękodzielnicze. W Norwegii posiadają kobiety od roku zeszłego prawo głosu przy wyborach gminnych.

Wzrastające wśród kobiet w Anglii zajęcie kwestyami społecznymi, najlepiej wykazuje liczba podpisów przy wyborach. — Pierwsza lista z roku 1869-go, wykazała 1,450 podpisów, druga z 1873 — 11,000, wreszcie ostatnia z roku zeszłego — 257,000.

Z. S.



Na półkach księgarskich.



— *Dr. Józef Tchórznicki: „W otchłani.”* (Obrazek miejski ze wspomnień Experta). Warszawa—Kraków. Gebethner i Wolff. 1902.

Wybitny działacz na niwie społecznej, znany powszechnie lekarz, dr. Józef Tchórznicki, ogłosił świeżo drukiem broszurkę, niewielką rozmiarami, ale w treść obfitującą, pełną smutnych, a ciekawych wspomnień Experta. „W otchłani” znajdują się ludzie, których dusze okaleczone występkiem, mogłyby się odrodzić, gdyby ludzie z sercem, ludzie dobrej woli chcieli zająć się utworzeniem Towarzystwa opieki nad wychodzącymi z więzień. Dr. J. Tchórznicki podaje w swej książeczce plan, rzuca myśl, którą należałoby podjąć. Wkrótce obszerniej pomówimy w „Bluszczu” o tej pracy najnowszego utalentowanego lekarza-publicysty, na razie stwierdzamy sam fakt pojawienia się w druku ciekawej i pożytecznej broszurki.

— *Lucyna Cwierzakiewiczowa: „Jedynie praktyczne przepisy konfitur, likierów, marmyat, ciast i t. p.”* Wydanie XIX. Warszawa, Jan Fiszer. 1902.

Nieodżałowana autorka „365 obiadów za pięć złotych” stanowczo była najpoczytniejszą z polskich pisarek: oto drugie jej „dzieło” wychodzi w XIX-em już wydaniu z pod prasy. Takiej popularności nie doczekał się bodaj żaden nawet autor polski z pierwszorzędną firmą literacką — a o kobietach piszących cóż dopiero mówić! Książka wydana starannie, mieści 402 strony i składa się z czterech części. Cena pożytecznego i istotnie praktycznego dziełka tego w oparciu kartonowej rub. 1 kop. 50. Najświeższą tę nowość polecamy szczerze uwadze i pamięci naszych czytelniczek. Takie „praktyczne przepisy” nie jednej młodej mężatce przydać się mogą.

K. T.

— *Ignacy Radliński: „Historia nauki o człowieku”* (Antropologia). Tom I-szy; Czasy przedhistoryczne i starożytne. Część I-sza. Str. 121. Warszawa, 1902. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki.”

Autor w zajmujący i przystępny sposób kreśli dzieje antropologii, która, pomimo, że jako nauka osobna datuje się stosunkowo od niedawna, istniała już jednak od niepamiętnych czasów w postaci podań i mytów; ponieważ zaś nie bardziej dokładnie i obrazowo nie może przedstawić stanu umysłowości ludzkiej w jej cią-

głym rozwoju, niż to, co człowiek z dawien dawna sam o sobie mniemał, przeto historia antropologii może być jednocześnie uważaną, jako obrazowa i dokładna historia umysłowości ludzkiej w ogóle. Tom niniejszy tego dzieła zawiera historię nauki o człowieku, poczynając od podań egipskich i greckich, kończąc na pierwszych filozofach, których długi szereg zamyka Anaksagoras.

— *Dr. med. W. Popiel: „Kobieta wobec badań nauki współczesnej.”* „Biblioteka dzieł wyborowych.” Str. 168. Cena kop. 40.

Praca niniejsza, jako ściśle bezstronna, może przyczynić się do wyrobienia bardziej trzeźwego sądu w sprawie toczących się obecnie dysput co do stanowiska kobiety w społeczeństwie, stawiając tę ważną kwestję na gruncie sumiennych i ściśle naukowych badań. Jedynie na tej drodze można się spodziewać osiągnięcia jakichkolwiek rezultatów, gdyż utarte zdania i komunały zdawkowe, oparte na pseudo-naukowych podstawach lub zaczerpnięte z bujnej wyobraźni, oczywiście nie przyczynią się zgola do unormowania istniejących stosunków. Autor z cierpliwością sumiennego badacza zgromadził olbrzymi materiał, dotyczący obranego przedmiotu, który zdołał przedstawić wszechstronnie a zajmująco.

— *Henryk Struve: „Znaczenie filozofii w życiu umysłowym narodu.”* Wykład publiczny, mianiny dnia 11-go marca r. 1902-go w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na rzecz Biblioteki Koła Filozoficznego w Krakowie, oraz Akademickiego Domu Zdrowia w Zakopanem. Warszawa. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej.”

Autor dowodzi w swojej rozprawie, że jedynie rozwój filozofii może doprowadzić do pożądanego rezultatów dążności ludzkiej w imię idei, piękna, prawdy i dobra. Bez nowej filozofii — jak mówi H. Struve — nie będzie nowej sztuki! Trzeba więc pracować nad nową filozofią, jeśli pragniemy odrodzenia starych i wytworzenia nowych wielkich ideałów. Co do życia moralnego narodu, to i o tym stanowi rozwój filozofii. Na szerokim polu działalności życiowej narodu, dwa te słowa: „Bądźmy sobą!” zawierają cały programat historyzoficzny. „Bądźmy sobą,” to znaczy rozwińmy i wykażmy wszechstronnie i prawidłowo utajoną treść naszego ducha. Do uświadomienia zaś sobie własnego charakteru i własnej odrębności narodowej dopomóż może jedynie rozwój filozofii. Cena niniejszej broszurki kop. 35.

— *John Ruskin: „Etyka pyłków,”* dziesięć odczytów o zasadach krystalizacji. Z angielskiego przełożył Wojciech Szukiewicz. Warszawa, 1902.

Dowcipny sposób wykładu w formie dialogów czyni książkę tę lekką, pomimo treści ściśle naukowej. I tu wszakże sympatyczny esteta angielski nie omieszczał wyrazić swoich zapatrywań o sprawie wychowania kobiet. Za pierwszą cnotę niewieścią uważa Ruskin... taniec, a właściwie nieustanną ochotę do tańca. Młoda dziewczyna powinna być tak szczęśliwą, aby wprost nie wiedziała, co z sobą począć od szczęśliwości, — aby tańczyć, zamiast chodzić. Dziewczyna jest zawsze takiego usposobienia — powiada dalej autor, — kiedy w niej wszystko w porządku. Drugą cnotą kobiety jest ubieranie się, t. j. umiejętność szycia (a nie kupowania) pięknych sukien, trzecią zaś — znajomość sztuki kulinarnej. Przekład staranny psuje mnóstwo rażących błędów zecerskich.

— *Ks. Fl. Czyżewski, prof. Seminarium Duchownego: „Śpiewnik Religijny.”* Nakład i własność wydawców: Saryusz-Zalescy-Pustowarnia. Warszawa, 1902.

Śpiewnik zawiera około stu pieśni, z podaniem zarówno słów, jak i melodyi.



„Jarmark jesienny.”

W dniach 6-ym, 7-ym i 8-ym września w ogrodzie Towarzystwa Myśliwskiego przy ulicy Nowy-Swiat pod n-rem 35-ym, odbędzie się Wielki Jarmark jesienny wyrobów uczestniczek Kasy samopomocy kobiet, pod protektoratem JW. hr. Anny Branickiej. Organizatorką jest p. Marya Małkowska.

Otwarcie Jarmarku przez hr. Branicką nastąpi w dniu 6-ym września r. b. o godzinie 1-iej w południe. Przez czas trwania Jarmarku od godziny 1-iej do 7-iej wieczorem przegrywać będzie orkiestra Teatru Rozmaitości, pod dyrekcją p. Gasztowta. Osoby charakterystyczne zastosowane do Jarmarku przez pp. Amatorów, jako to: żydzi, chłopci, dziady i t. p. Illuminacja ogrodu. Namiotów będzie urządzonych dziesięć.

1) Grota malarska: obrazy olejne, przedmioty sztuki stosowanej i pocztówki ręcznie malowane.

2) Sklep wyrobów uczestniczek Kasy, urządzony staraniem prezesowej Kasy, doktorowej Maryi Kryże: bielizna męska i damska, ręcznie i maszynowo wykończona, wykwinne wyprawki dla niemowląt, krawaty, skarpetki i pończochy bardzo starannie wykończone, kołnierze i laufry poin-lace, kwiaty sztuczne w gałęziach do przybrania salonów, wyroby galanterijne, hafty, lalki gustownie ubrane po rub. 1 sztuka i t. p. Na wszystkie przedmioty ceny ponaznaczano niskie, ażeby uniknąć karoty.

3) Chata wiejska: produkty spożywcze: obwarzanki firmy Łapińskiego, wędliny firmy Dusoge, ciasta, paszety, konfitury i soki, wyroby uczestniczek Kasy, owoce, babki po kop. 10 (na każde 25 sztuk ukryty w babce bon na funt cukierków, do odebrania w cukierni pod firmą Ignacy Górski, Nowy-Swiat nr 59), ceny zwykłe, wszędzie ponapisywane.

4) Perfumerya Pulsa.

5) Księgarnia Gebethnera i Wolffa (namiot ponsowy).

6) Namiot myśliwski z cukrami firmy „Spółka zjednoczonych cukierników warszawskich” i kwiaty świeże, sprzedawać będą pp. Gospodarze Jarmarku.

7) Wieża motylowa: cygara i papierosy firmy Ehrenfried.

8) Papeterie firmy Pigłowska.

9) Gorsety, sklep własny p. Kossobudzkiej.

10) Sklep własny p. Rodkiewiczowej (terrakota).

We wszystkich sklepach sprzedawać będą zaproszone panie. W chacie wiejskiej w kostiumach chłopskich.

Afisz ręcznie malowane przez p. Chojdzińską.

Treść numeru:

Ś. p. Henryk Siemiradzki, przez M. G. — Nasz kwestyonaryusz panieński. — Przysiań, powieść współczesna, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Z erotyków (wiersz). — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Ze sztuki, przez Kacpra Stan. — Czy i to emancypacja? przez Zofię Seidlerową. — Kilka uwag! (Odpowiedź autorowi artykułu „O cnotach i wadach kobiecych”), przez K. Kornickiego. — Z listów do „Bluszczu”: z Krakowa, przez S. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Na półkach księgarskich. — „Jarmark jesienny.” — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz dziewiaty „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki” d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

— Do niniejszego numeru „Bluszczu” dołącza się prospekt wydawnictwa „Biblioteka dla młodzieży,” pod redakcją p. Pawła Trzczińskiego.

EDELWEISS DE LA TZARINE

Essencja, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.
Victor Vaissier, Perfumerja w Paryżu, wynalazca mydła Congo Imperial.

ANNA JASIEŃSKA

przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ul. Hr. BERGA Nr. 8.

Ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, że zapis na rok 1902/3 rozpocznie się 20 sierpnia. Egzamin 2 i 3 września. Kurs nauk 4-go września. Metryka i świadectwo szczepionej ospy wymagane.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**
ul. Żórawia Nr. 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzamin dla nowowstępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczyna się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

GOLCZEWSKIEJ

Święto-Krzyżka 44.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

W zakładzie naukowym VI-klasowym żeńskim

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

MARYI GROCHOWSKIEJ

MIODOWA Nr. 1.

Zapis na rok szkolny 1902/3 zaczyna się 20-go sierpnia. Egzamin wstępny 2-go września, lekcje 3-go września.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

M. MACIEJOWSKIEJ

Z PENSYONATEM

Nauka prowadzona na wzór pierwszej Szkoły Paryżkiej p. Abła Goubaud.

NOWY-SWIAT 18, d. J. W. Hr. Branickiego.

„POTROSZE ZBIORĄ SIĘ GROSZE“

Warszawskie Towarzystwo

Pożyczkowo-Oszczędnościowe

MIODOWA 3.

Zarząd Towarzystwa podaje do wiadomości, iż celem ułatwienia w składaniu oszczędności, Towarzystwo z dniem 20 Sierpnia b. r. otworzyło nowy dział oszczędnościowy za pomocą skarbonek. Każda osoba, życząca składać w Towarzystwie drobne oszczędności, otrzyma puszkę metalową za zwrotem kosztów takowej, zamkniętą przez Zarząd Towarzystwa, przeznaczoną do zbierania pieniędzy oszczędzanych, zaopatrzoną we właściwy Nr oraz książkę wkładową. Z końcem każdego miesiąca delegat Towarzystwa zgłosi się do posiadacza puszek, odbierze zaoszczędzoną kwotę, zapisze do książki i otrzyma poświadczenie o wydanej sumie.

Stopa procentowa od wkładów oszczędnościowych, do puszek składanych, ustanawia się na 3% w stosunku rocznym.

Wkłady czyli oszczędności składać mogą Członkowie Towarzystwa, osoby postronne i Instytucje w rozmiarach dowolnych i nie mniejszych niż 10 kop. (Art. 31 Ustawy).

Puszki metalowe (skarbonki) oraz wszelkie informacje udziela Zarząd w biurze Towarzystwa codziennie od 9 rano do 3 po południu.

Pensja żeńska prywatna

ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza Nr. 44, róg Nowogrodzkiej,

Zapis uczennic do klasy wstępnej, I, II, III i IV-ej codziennie od 4-ej do 6-ej po południu.



Egzystująca od lat 15 w Warszawie

przy placu Św. ALEKSANDRA Nr. 11

Szkoła Kroju

L. SKWARECKIEJ

Mistrzyni cechowej z dyplomem Paryżkiej szkoły kroju „du Monsieur de la Mode“ odznaczonej w Paryżu rządowym patentem 1-ego stopnia i świadectwem szkoły kroju „Laroch'a“. Przyjmuje uczennice, które po otrzymaniu patentu cechowego mogą zajmować posady nauczycielek w szkołach rządowych. Kurs kroju na świadectwo cechowe rb. 62, na domowy użytek rb. 25. Nauka szycia 3 rb. miesięcznie. Zapis uczennic 1-go Września.

UWAGA. Oddzielne kursa szycia kostiumów angielskich, pod kierunkiem krawca specjalisty.

Osoby fachowe uczyć w przeciągu 12-tu lekcji za opłatą 20 rb., specjalne kursa staników francuskich, angielskich i balowych.

PRACOWNIA KOŁDER

MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca kołdry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

W Zakładzie Naukowym 6-cio klasowym żeńskim

z Pensjonatem i klasą przygotowawczą

JADWIGI TACZANOWSKIEJ

Chmielna 48 (róg Zielnej)

zapisy codziennie, lekcje 4 Września.

Całun Jezusa Chrystusa

Studyum naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogocennej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracyami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSTUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za Nr 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz“ Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wydawca: Piotr Laskauer.— Redaktor: Marian Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Августа 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyżka 11.